UMCS LUBLIN

Rys. Zdzisław P. Karpiński

Futbol i mrożonki str. 3

Tylko dla kobiet str. 12

Horoskop '88 str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr ind. 362514

kamena

NR 2 (900) 24 stycznia 1988 Cena 20 zł

Rok 1863 na Litwie, Białorusi i Ukrainie

125 ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Wiesław Śladkowski

ZDANIEM prof. Stefana Kieniewicza, najwybitniejszego znawcy dziejów insurekcji styczniowej: „Do spraw szczególnie trudnych dla dzisiejszego historyka należą dzieje powstania na Litwie, Białorusi Ukrainie. Rok 1863 należy w jakimś stopniu do historii tych narodów, ale to, co się działo na wschód od Bugu w owym roku, nie da się odłączyć od historii powstania polskiego, od losu Polaków, którzy działali, walczyli i cierpieli na tamtych obszarach". Problematyce tej autor wyżej przytoczonych słów użyczył też wiele miejsca na kartach swego znakomitego dzieła — „Powstanie styczniowe" (Warszawa 1983) W ramach wielotomowego wydawnictwa źródeł, będącego owocem współpracy historyków polskich i radzieckich, „Powstanie styczniowe. Materiały i dokumenty", ukazały się cztery tomy poświęcone: ruchowi rewolucyjnemu na Litwie i Białorusi 1861—1862, powstaniu na tych terenach 1863—1864 oraz ruchowi społeczno-politycznemu na Ukrainie w latach 1856—1862 i 1863—1864. Pisano też niejednokrotnie o współpracy rewolucjonistów polskich z rewolucjonistami białoruskimi, ukraińskimi i rosyjskimi, powszechnie znane są obecnie w Polsce postacie Konstantego Kalinowskiego, Andrzeja Potebni, Aleksandra Hercena.

Problematyka ta nie stanowiła więc w badaniach historycznych jakiejś białej plamy. Przyznać jednak trzeba iż w niektórych publikacjach, zwłaszcza o charakterze popularyzacyjnym, pewne sprawy były preferowane, inne pomijane, co prowadziło niekiedy do uproszczeń. Uległ im np. autor interesującego skądinąd artykułu, jaki ukazał się niedawno na łamach prasy lubelskiej pt. „«Nasi» Białorusini". Stwierdził on, iż w 1863 r. lud białoruski „wziął gremialny udział w powstańczych bojach" Czy tak rzeczywiście było? Niniejszy szkic jest próbą odpowiedzi na to, jak i niektóre inne pytania związane z tą niełatwą problematyką. Jego napisanie uzasadnia także 125 rocznica wybuchu powstania styczniowego.

Sytuacja społeczno-narodowościowa na terytorium ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, zabranych w wyniku rozbiorów przez Rosję i przyłączonych bezpośrednio do cesarstwa, była niezmiernie złożona. Polacy, reprezentowani głównie przez szlachtę, mieszczaństwo inteligencję, pozostawali tu w mniejszości w stosunku do przeważającego, zwłaszcza na Białorusi i Ukrainie, miejscowego żywiołu chłopskiego. Między dworem a wsią istniał na tym terytorium antagonizm narodowościowy i wyznaniowy, z wyjątkiem katolickiej Litwy, a także głęboki i zadawniony konflikt społeczny. Dążeniom Polaków do odzyskania niepodległości towarzyszyło rozbudzenie się, zwłaszcza na Litwie i Ukrainie, ale również i na Białorusi, własnych aspiracji narodowych. Carat był tu wspólnym wrogiem, sprawę skomplikowaną stanowił jednak kształt i ustrój przyszłego organizmu państwowego. Na gruncie granic dawnej Rzeczypospolitej sprzed 1772 r. stała nie tylko szlachta, było to stanowisko silnie zakorzenione w całej polskiej tradycji patriotycznej. Hołdował mu także Ludwik Mierosławski, przewidywany przez niektórych na wodza przyszłego powstania. Drugim zasadniczym problemem była sprawa chłopska. Dla tych, którzy dążyli do walki, było rzeczą oczywistą iż jej powodzenie będzie uzależnione od stanowiska, jakie zajmą wobec ruchu chłopi, i to zarówno nad Wisłą, jak i nad Niemnem i Dnieprem.

Artur Grottger: „Bój" z cyklu „Lithuania"

Te dwie kluczowe dla przyszłego powstania kwestie znalazły się w orbicie zainteresowań związków i kółek studenckich, powstałych w środowiskach uniwersyteckich Kijowa, Moskwy i Petersburga. Studiująca tu licznie młodzież polska współpracowała z młodzieżą ukraińską i rosyjską. Założony w Kijowie w 1857 r. Związek Trojnicki prowadził agitację wśród ukraińskich chłopów. O sprawach społecznych i narodowościowych dyskutowano także w Kole Oficerskim, utworzonym przez Zygmunta Sierakowskiego w gronie słuchaczy petersburskiej Akademii Sztabu Generalnego, grupującym obok Polaków także Rosjan i Ukraińców i pozostającym pod wpływem rosyjskiego rewolucyjnego demokraty Mikołaja Czernyszewskiego.

Powstały na tej płaszczyźnie i zmierzający do insurekcji obóz czerwonych stanął w sprawach społecznych zdecydowanie na gruncie uwłaszczenia włościan. Bardziej skomplikowanymi były problemy narodowościowe. Wyłoniony przez czerwonych Komitet Centralny pisał w 1862 r. w liście do Aleksandra Hercena: „Wymagać od nas abyśmy nie dążyli do odbudowania Polski w dawnych granicach, byłoby żądać od nas uznania rozbiorów Polski". Dylemat ten usiłowano rozwiązać, wysuwając podczas manifestacji horodelskiej w 1861 r. program objęcia unią obok Polski i Litwy także Rusi, z zagwarantowaniem równych dla wszystkich praw. Podczas bezpośrednich rozmów we wrześniu 1862 r. w Londynie, między przedstawicielami Centralnego Komitetu Narodowego: Gillerem i Padlewskim a rewolucjonistami rosyjskimi: Hercenem i Ogariewem, gdy wysłannicy czerwonych ze względów militarnych uznali konieczność rozszerzenia powstania na Litwę, Białoruś i Ukrainę, ustalono kompromisowo iż kraje te dopiero po zwycięstwie zdecydują samodzielnie o swej przyszłości.

Niezwykle istotnym wydarzeniem na terytoriach ziem zabranych, które miało wpłynąć na postawę chłopów, był carski ukaz o uwłaszczeniu z 19 lutego 1861 r., obowiązujący na obszarze cesarstwa. Znosił on poddaństwo, utrzymując [illegible]wo inne powinności; dopiero na podstawie zawieranych z dworami umów mieli chłopi otrzymać za wykupem ziemię i wyzwolić się z pańszczyzny. Reforma ta, ze względu na swój ograniczony i połowiczny charakter, spotkała się z żywiołowym protestem mas chłopskich, odmówili oni uiszczania jakichkolwiek powinności. Chłopski ruch oporu objął także gu-

Dokończenie na str. 8

z notatnika

11 I. Ten notatnik ukaże się w dziewięćsetnym numerze „Kameny". Liczby 900 nie eksponujemy, chociaż uwzględniając fakt, że nasze pismo było raz miesięcznikiem, raz kwartalnikiem, a raz (no, najdłużej!) dwutygodnikiem, nie jest ona znów tak mała...

Przy okazji zajrzałem do rocznika z 1965 roku i rzuciłem okiem na pierwszy numer podwójny zresztą który przyszło mi redagować: 311—312. Za niecałe półrocze powinien się więc ukazać „mój" numer sześćsetny!

Proszę darować ten osobisty wątek, ale wziął się on również, a może i przede wszystkim stąd że 1 lutego obchodziłaby swoje stuletnie urodziny Maria Bechczyc-Rudnicka która była moją poprzedniczką w „Kamenie". Przekazywała mi pałeczkę redaktorską w wieku siedemdziesięciu sześciu lat. Wcale nie przyszło to jej łatwo: pamiętam łzy spływające po jej twarzy... Cieszyłem się, że pani Maria nadal pozostała w piśmie wprawdzie już nieetatowo, stale pisując recenzje teatralne. Nie zawsze była łatwa we współżyciu, zwłaszcza że nie uznawała krótkich tekstów (nie ona jedna!), niemniej nigdy nie ingerowaliśmy w jej oceny. Jak zresztą można było ingerować, skoro np. o pewnej sztuce, wystawianej w Lublinie potrafiła kiedyś napisać, że oglądała już ją w... 1907 czy 1908 roku w Petersburgu i teraz ma okazję do porównań...

Odejścia zawsze muszą być smutne. A następca powinien zachować wiele taktu wobec swego poprzednika chociażby dlatego, że nic na tym świecie nie jest wieczne!

14 I. Chciałem napisać, że „przyjąłem z mieszanymi uczuciami" ale to przecież nieprawda! Uczucia nie są mieszane, ale jednoznaczne: jestem p r z e c i w, bo uważam, że zarówno treść jak i forma przypominają czasy, o których chcielibyśmy zapomnieć, choć wiemy, że jest to pragnienie nie do zrealizowania, bo przeszłość żyje w rzeczywistości. Wystarczy zajrzeć do najbliższego sklepu...

Ale w czym rzecz? Powolutku! Na łamach drugiego numeru „Słowa Podlasia" z 88-01-14 (przedziwne jest takie datowanie pisma!) znalazłem, i to na pierwszej oczywiście stronie „List do mieszkańców województwa" pod którym widnieją podpisy trzech administracyjno-polityczno-społecznych szefów regionu. Nie wiem, dlaczego list wystosowano „do mieszkańców województwa" skoro z jego treści wynika, iż jedynym adresatem są załogi zakładów. Podlasie uprzemysłowiło się nieco, ale w dalszym ciągu dominuje tam społeczność wiejska, tymczasem we wspomnianym dokumencie zupełnie ją pominięto, ale może uprzedzam dalsze wydarzenia, czyli kolejne listy... („Słowo Podlasia" nawet rozmowy telefoniczne potrafi drukować w odcinkach).

Nadawcy listu zwracają się do załóg zakładów o nowe spojrzenie na ich funkcjonowanie. „Zastanówcie się — czytam — wspólnie z załogami (załoga ma się zastanawiać wspólnie z załogami — co za precyzja myśli!) jakimi konkretami będziecie wypełniać ten nakaz chwili. Co możliwe jest do wykonania np. w zakresie atestacji, brygadowych form pracy, przesunięć w zatrudnieniu dyscypliny pracy, poprawy efektywności gospodarowania czynnikami produkcji, poprawy jakości i nowoczesności wyrobów, sprawniejszej obsługi obywateli, wzrostu produkcji eksportowej i antyimportowej, postępu naukowo-technicznego, likwidacji marnotrawstwa i niegospodarności, wykorzystania wszelkich możliwości stwarzanych przez reformę gospodarczą dla inicjatyw założycielskich, tworzenia wspólnych przedsiębiorstw, spółek także z udziałem kapitału zagranicznego tworzenia nowych zakładów rzemieślniczych rozwijania pracy nakładczej itp...."

Czas na zastanowienie się i sprecyzowanie poglądu nie jest długi: odpowiedzi pod stosownym adresem (RW PRON — Biała Podlaska, Plac Wolności 28) należy bowiem nadesłać w ciągu stycznia, to znaczy w ciągu ok. dwóch tygodni. Wiara ponoć czyni cuda, śmiem jednak wątpić czy w ciągu dwóch tygodni dokona się to, czego nie zrobiono w ciągu lat kilku, zwłaszcza, że wachlarzem poruszonych spraw można by wypełnić wszystkie plenarne posiedzenia KW i sesje WRN w Białej Podlaskiej do końca bieżącego roku (i jeszcze to i owo zostałoby na rok przyszły!).

W liście mowa jest też o tym, że nie wszystko zależy od władz centralnych, że potrzebna jest śmiałość, przedsiębiorczość i i n i c j a t y w n o ś ć na każdym stanowisku pracy. Śmiałość — zgoda, przedsiębiorczość — jak wyżej, ale i n i c j a t y w n o ś ć? 12-tomowy Słownik Języka Polskiego nie zna takiego słowa. „Żeb to pomorek!" — powiem w tym miejscu jak „słowopodlaski" Sawko.

Mniejsza jednak o te „inicjatywność": istota problemu jest daleko głębsza, bo właśnie realizacja, podkreślam z całą mocą — r e a l i z a c j a drugiego etapu reformy gospodarczej powinna śmiałość, przedsiębiorczość i inicjatywę spowodować lub wyzwolić. Profesor Lew Abałkin stwierdził na łamach „Socjalisticzeskoj Industrii", że po to, „aby ludzie nauczyli się pracować w nowych warunkach rozrachunku gospodarczego, należy ich postawić ...w warunkach tego rozrachunku. Lepszego nauczyciela niż życie nie ma". Jakże to aktualne i u nas! Niestety, gdy pisze te słowa, ciągle jeszcze jesteśmy w lesie, a na szczeblu centralnym (od którego, prawda, nie wszystko zależy, ale zależy wiele!) trwa przeciąganie liny: rząd swoje, ale swoje i związki zawodowe. A w Sejmie też nie ma sielanki, gdy toczy się spór dotyczący budżetu państwa na rok 1988. Ciągle brakuje 370 miliardów złotych. Deficyt można pokryć kredytem z Narodowego Banku Polskiego, ale bank już też się nauczył liczyć i gotów jest służyć państwu tylko 250 miliardami złotych...

Dopóki sytuacja się nie wyklaruje, dopóki nie będą podjęte jakiekolwiek decyzje (kto wie, może bardzo drastyczne, łącznie z zamykaniem deficytowych przedsiębiorstw, choć ciągle w to nie wierzę), zwracanie się do załóg przypomina głos wołającego na puszczy, zwłaszcza że edukacja ekonomiczna wielu załóg mocno kuleje. Ponadto są różne bariery, niezależne od działalności poszczególnych przedsiębiorstw, w postaci takich czy innych, ciągle obowiązujących przepisów. Bez zdjęcia tego gorsetu, a przynajmniej jego odczuwalnego rozluźnienia, trudno mówić o śmiałości, przedsiębiorczości i inicjatywie n a d o l e. Od wykazywania tej inicjatywy n a d o l e odduczano zresztą wszystkich przez całe lata.

Moja konkluzja: zacznijmy od stworzenia odpowiednich warunków do, mówiąc skrótowo, lepszej pracy, a listy piszmy już lepiej do własnych rodzin.

Ale władza, różna władza, sztukę epistolarną jednak lubi! Oto szef służby zdrowia w Lublinie z okazji Nowego Roku też taki list sprokurował, wydrukował go na pięknym papierze w... zakładach graficznych i wysłał swym podwładnym („bez względu na miejsce i stanowisko tych znanych z nazwiska i tych anonimowo spełniających swoją powinność" — to stosowny cytat). I ja ów list („do ewentualnego wykorzystania") otrzymałem. Może wrzuciłbym go do kosza, gdyby nie zatelefonował do mnie pewien poważny docent i powiedział mniej więcej tak: „Apeluje się do nas, byśmy przekazywali społeczeństwu wiedzę o zgubnym wpływie na zdrowie nałogu palenia tytoniu, nadużywania alkoholu, braku higieny osobistej, o to również by placówki służby zdrowia stały się oazą czystego powietrza i byśmy nie łamali ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Wszystko to piękne, ale może najpierw zadbamy o należyte zaopatrzenie aptek w opaski higieniczne, odpowiednią ilość waty, plastry i bandaże. Jak na razie, wszystko to jest gadanie do lampy! A Główny Lekarz Wojewódzki nie daje nam nawet w Nowy Rok nadziei, że nasze głodowe pensje zostaną podwyższone, a szpitale nie będą musiały odkładać operacji z powodu braku środków znieczulających...".

Była w tej wypowiedzi gorycz. Wszyscy wiemy, że szpitale, apteki, że cała służba zdrowia szczególnie zostały dotknięte kryzysem. Tego kryzysu żaden apel nie zlikwiduje a reakcja znajomego docenta jest dość charakterystyczna. Powtórzę więc: listy piszmy już lepiej do własnych rodzin, skoro możemy tylko apelować, niczego nie obiecując. Coś za coś! Ba!

15 I. Rzecz dzieje się na początku drugiej dekady stycznia. Styczeń to miesiąc, kiedy księża odwiedzają parafian w ich mieszkaniach, czyniąc to nie tylko z dobrego serca. Kościołów w Lublinie buduje się więcej niż placówek nauczania. Niektórzy się dziwią, ale nikt już jak to niegdyś bywało, nie wybrzydza. Wprost przeciwnie: chwali się architekturę sakralną, która dodaje uroku nowym dość standardowym osiedlom, choć mówiąc szczerze, nie wszystkie nowe kościoły należy podziwiać. No, ale czasem według stawu grobla, a koszty budowy wcale nie tanieją, więc nowe datki stale są potrzebne..

Ad rem jednak! Do mieszkania mojej znajomej zadzwonił ksiądz. Wyirzała przez wizjer w drzwiach i już chciała otworzyć kiedy na korytarz wyszła sąsiadka oznajmiając (i tu cytuję prawie dosłownie bo nikt rozmowy przecież nie nagrywał):

— Tam niech ksiądz nie dzwoni, bo tam księdzu nie otworzą.

— A kto tam mieszka.

— Taka jedna komunistka. Ona do kościoła nie chodzi.

— A komunistka... To niech ją piekło pochłonie. A co ona robi?

— Podobno pracuje na wyższej uczelni.

— Niech pani nie wierzy w to, bo ci, co pracują na wyższych uczelniach, to do kościoła chodzą i księdza puszczają. Ona was oszukuje.

— Ja z nią nie rozmawiałam. Tak ludzie mówią.

— Gdzie by nie pracowała, to uważajcie teraz, by ta zaraza komunistyczna nie rozprzestrzeniła się, a wy macie przecież dzieci.

— Niech się ksiądz nie boi. My z nią nie rozmawiamy i rozmawiać nie będziemy.

Koniec rozmowy, bo sąsiadka zaprosiła księdza do siebie, a stamtąd słowa już nie były słyszalne...

Gdyby Kuria Biskupia chciała znać bliższe szczegóły — służę chętnie, bo myślę, że to przypadek incydentalny.

Tak się złożyło, że kiedy powtórzono mi tę kuriozalną rozmowę przeczytałem w „Przeglądzie Tygodniowym" wstrząsający reportaż Marka Sarjusza-Wolskiego pt. „Naszym winowajcom..." dotyczący zamordowania jedenastoletniego Kamila przez dwóch starszych od niego chłopców którzy przyszli z zamiarem zrabowania magnetowidu. Sprzedali go zaraz na bazarze za 170 tysięcy złotych. Milicja szybko ujęła sprawców tej makabrycznej zbrodni; kiedy zjawiła się po jednego z nich, Jacka, wówczas jego rodzice czekali na obraz Matki Boskiej który wędruje po mieszkaniach. W każdym mieszkaniu obraz jest przez jedną dobę począwszy od osiemnastej wieczorem. Więc Jacek miał przykazane żeby przyjść wcześniej, ale jednak się spóźnił. Akurat odmawiali różaniec. Przyszedł w nowych pantoflach..."

Nie będę niczego uogólniał, ale, proszę księdza; bardzo trzeba uważać z takimi sformułowaniami jak „komunistyczna zaraza" gdyż bywa że zło wylęga się właśnie pod różańcem. A życzenia, by kogoś pochłonęło piekło, kojarzą mi się z mrocznym średniowieczem. Bliźniego trzeba kochać jak siebie samego! Ja muszę o tym osobie duchownej przypominać?

* * *

Tyle jeszcze chciałem napisać, ale miejsce jak oceniam już się kończy. Mogę więc tylko zwrócić uwagę i decydentom, i kolegom dziennikarzom, na świetne przemówienie Michaiła Gorbaczowa wygłoszone do redaktorów naczelnych środków masowego przekazu i pracowników frontu ideologicznego (vide „Trybuna Ludu" z ostatniego czwartku). Klarowność myśli przejrzysta dokumentacja, szczerość. Uczmy się tak rozmawiać z ludźmi a różne wzniosłe apele pozostawmy umarłym. Również umarłym czasom.

M. A. Jaworski

Sprostowanie

Do artykułu „Błotko lubelskie" (vide: poprzedni numer „Kameny") wkradł się błąd. W ostatnim akapicie stosowny cytat powinien brzmieć: „dzięki pismom żydowskim, socjalistycznym i pedeckim przyjdzie do większego zepsucia". A więc PEDECKIM, nie ENDECKIM. (Pedeckimi nazywano te pisma, które reprezentowały poglądy Postępowej Demokracji).

Przepraszamy autorkę i czytelników. Korekta też człowiek, niekiedy może się pomylić...

KRONIKA KULTURALNA

● 10 stycznia w gmachu Wydziału Prawa i Administracji UMCS rozpoczął działalność nowy ośrodek kultury uniwersytetu, przedstawiając publiczności koncert słowno-muzyczny „Reduta Zeromskiego", przygotowany przez Barbarę Wachowicz. Rozległy program muzyczny ośrodka autoryzowany jest przez Filharmonię Lubelską. Przewiduje się ponadto spotkania z wybitnymi indywidualnościami innych dziedzin sztuki.

● Urząd Wojewódzki w Lublinie wykupi z rąk prywatnych zabytkową willę „Brzozy" w Nałęczowie, wzniesioną według projektu Jana Koszczyc-Witkiewicza. Po remoncie zrujnowanego obiektu, który pochłonie 100 mln zł, umieszczona tam będzie instytucja pn. „dom pracy twórczej" lubelskiego środowiska aktorskiego.

● W ubiegłym roku w kinach naszego makroregionu największym wzięciem publiczności cieszyły się takie filmy polskie, jak: „Nad Niemnem" (538 tys. widzów), „Wierna rzeka" (76 tys.), „Między ustami a brzegiem pucharu" (25 tys.) Głośna „Pokuta" radziecka spotkała się z zainteresowaniem 21 tys. osób. Na marginesie: lubelskie kino „Wyzwolenie" otrzymało wreszcie centralne ogrzewanie.

● 15 stycznia w lubelskim BWA przy ul. Narutowicza 4 otwarto wystawę 101 prac graficznych Maksymiliana Sneeha. Przypomnijmy, że w minionym roku na II Międzynarodowym Biennale Grafiki w Wakayama (Japonia) artysta otrzymał I nagrodę. Jej rangę, wymienialną na dewizy, podnosił fak, że z 3297 prac nadesłanych na Biennale do ekspozycji zakwalifikowano zaledwie 188! Oglądajcie Sneeha, póki jest okazja.

● Jeden człowiek, pełnomocnik Towarzystwa „Polonia", zelnicjował w Lublinie zorganizowaną, szeroką działalność na rzecz naszych zagranicznych rodaków. Co dobrego z tego wynikło, wiadomo: miasto zyskało opinię jednego z najpoważniejszych w kraju ośrodków współpracy z Polonią. W 15-lecie obecności Towarzystwa w Lublinie odbyło się (18 bm.) zebranie miejscowego Klubu Polonijnego SD PRL i dyrekcji Pol. Centrum Kulturalno-Oświatowego.

● Zarząd Miejski ZSMP w Lublinie organizuje klub użytkowników video, dorzucając na wstępie do puli ponad 20 własnych kaset z obrazkami. Okręgowa Instytucja Rozpowszechniania Filmów zamierza w najbliższych miesiącach otworzyć wypożyczalnię kaset we wszystkich miastach wojewódzkich makroregionu. Bardzo dobrze, ale mało — więc tłumy ludzi gromadzą się przed punktem informacji turystycznej w pobliżu lubelskiego Sądu Rejonowego, albowiem tam właśnie, gdzie niegdyś był sklep z zabawkami, mruga w witrynie video.

● 16 stycznia, w piątą rocznicę śmierci Adama Kerstena, w Bibliotece Instytutu Historii UMCS odbył się wieczór poświęcony życiu i pracy naukowej profesora. Spotkanie i okolicznościową wystawę przygotowało Studenckie Koło Naukowe Historyków. (Pozwalamy sobie przypomnieć, że w dramatycznym okresie pierwszych lat osiemdziesiątych „Kamena" opublikowała obszerny wywiad z A. Kerstenem).

● Nim przedstawimy poważniejsze dokonania oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko Arabskiej, żywo działającego od roku w Lublinie, informujemy, że z jego zachęty kawiarnia „Urocza" na Starym Mieście wprowadzi do jadłospisu potrawy kuchni orientalnej. Gdyby żył pan Przypkowski z Jędrzejowa, uznałby taką wiadomość za bardzo ważną.

● W galerii fotografii LDK czynna jest wystawa rysunków Szymona Kobylińskiego — do śmiechu i do myślenia.

● Konserwator wojewódzki w Chełmie ogłasza w prasie, że ma jeszcze zabytki na sprzedaż. Wydatek niewielki, satysfakcja znaczna, państwowa dotacja na remont zapewniona.

● Od 7 stycznia w zamojskim BWA czynna jest wystawa malarstwa i rysunku Mariusza Łukasika z Warszawy. Polecamy!

Futbol i mrożonki

Wiesław Horabik

SPOTKANIE kierownictwa PZPN z dziennikarzami pod roboczym hasłem „Dokąd się toczysz polska piłko?" urządzono w Dębicy. Sądzę że nie bez powodu. Fenomen „Igloopolu" stał się bowiem symbolem już nie drugiego ale jak ktoś słusznie zauważył czwartego etapu reformy. Dziś do ministra Brzostowskiego, dyrektora mrożonkowego koncernu przyjeżdżają wojewodowie z sąsiedztwa prosząc by przejmował kolejne podupadające na ich terenie przedsiębiorstwa. I przejmuje. Potężny kombinat coraz bardziej się rozrasta i na dobrą sprawę nie wiadomo już teraz, czy „Igloopol" istnieje przy Dębicy, czy też jest na odwrót.

Jeśli jakiekolwiek miasto w Polsce zasługuje na miano miejsca o dwóch duszach, to jest to z pewnością Dębica. Stare okopcone domki, kwiaciarnie w grząskim błocku i kolorowe piramidalne bloki o szwedzkiej architekturze; garść przedwojennych ceglastych kamieniczek i rozległe pałace Sportu oraz Kultury i Nauki; ciasny brukowany rynieczek i wspaniale zadbany park z koncertową muszlą; długie, przypominające klasztor zabudowania i ogromne, szklane hale produkcyjne. A przy tym ulica Dzierżyńskiego przecina się tu najspokojniej w świecie łagodnym łukiem z ulicą Sikorskiego.

Pragnienie, aby i polska piłka podchwyciła coś z tego rozmachu i tolerancji przyświecała zapewne inicjatorom tego spotkania, dziennikarzom krakowskiego „Tempa". Nie sądzę, aby odbyło się kiedykolwiek przedtem jakieś spotkanie, na którym w sposób tak kompleksowy, krytyczny i konstruktywny zarazem oceniono by jakąkolwiek dyscyplinę naszego sportu. W Dębicy prześwietlono bowiem polski futbol pod kątem socjologii, bazy i nadbudowy, moralności i zasad fair-play, finansów i szkolenia, a nawet polityki. Z tego wszystkiego wyłonił się obraz szary i pogmatwany, pełen półcieni i podtekstów, ale za to z całą pewnością szczery. Na spotkanie przybyli przecież wszyscy, którym dobro tej dyscypliny sportu leży na sercu. Zabrakło jedynie... selekcjonera narodowej reprezentacji.

Jaka jest więc ta polska piłka nożna dziś? Ano nie ulega wątpliwości, że wtoczyła się w dołek. Świadczą o tym ubiegłoroczne wyniki wszystkich rywalizacji na arenach międzynarodowych. Pierwsza reprezentacja przegrała w kompromitujący sposób eliminacje do Mistrzostw Europy, młodzieżówka i juniorzy wypracowali w światowej konfrontacji całkowicie ujemny bilans, drużyna olimpijska zachowała jeszcze szanse awansu do Seulu jedynie dzięki karnemu odebraniu punktów Duńczykom, a polskie zespoły klubowe tradycyjnie szybko pożegnały się z pucharami. Takie są fakty; fakty znane każdemu kibicowi. Dlatego w Dębicy rzadko do nich powracano. W obliczu bowiem czekających nas eliminacji do Mistrzostw Świata nie czas na rozpamiętywanie przeszłości. Nie oznacza to wszakże, iż nie czas na analizę, na rzeczowe przebadanie przyczyn, skoro skutki są znane.

Na trzydzieści osiem milionów ludzi zamieszkujących nasz kraj posiadamy obecnie dwieście pięćdziesiąt tysięcy zarejestrowanych futbolistów. Dla porównania: czternastomilionowa Holandia posiada ich milion. Gdzie zatem i jak mają objawiać się u nas owe talenty, gotowe w przyszłości zadziwić świat? Puste placyki i wolne obszary zieleni ustąpiły w naszych miastach miejsca wysfaltowanym alejkom i betonowym parkingom. Futbol wyniósł się ze szkół, tracąc na rzecz dyscyplin halowych, gdyż na wielu AWF pozamykano specjalizację piłki nożnej. Sam okrągły przedmiot do kopania osiągnął w sklepach cenę pięciu tysięcy złotych, a na dodatek najczęściej bywa niedostępny. Liczba seniorów przekroczyła dwukrotnie liczbę juniorów, młodzików i trampkarzy. Piramida naturalnego doboru sportowców stanęła na czubku, a to grozi bez wątpienia jej rychłym przewróceniem. Tak wygląda struktura. A nadbudowa?

Grono ludzi przyklejonych do piłki nożnej ma tyle wspólnego z działalnością społeczną, co sam futbol z Clausewitzem. Ileż to lat przesuwano do sportu „z urzędu" tych, którzy zdążyli już pogrzebać wszystkie inne dziedziny w których przyszło im działać? Ilu znawców" odnajdowało w futbolu szanse intratnych podróży, dopchania się „do koryta", przyssania do złotodajnej krowy? Iluż to „pasjonatów" zamieniało inne dyscypliny sportu na futbol gdy był on potężny i bogaty? A tak naprawdę w nowoczesnej piłce nożnej nie ma w ogóle miejsca dla działaczy. Potężna machina, oderwana zupełnie od sportu, przekształcona z pomocą irracjonalnego kaprysu milionów w twór pośredni między show-businessem a cyrkiem, potrzebuje menadżerów; fachowców kompetentnych decydentów, suto opłacanych bossów. Tymczasem takich u nas jak na lekarstwo, a może jeszcze w ogóle nie wypłynęli, bo przeciągała się reforma. Nie wart jest dobry szef, przekonał się łódzki Widzew. I nie ma przy tym nic złego w fakcie, że prezes Sobolewski wybudował sobie willę. Jak opowiadał nam na spotkaniu dyrektor Brzostowski, jeden z robotników miał go ostatnio pytaniem, kiedy stać będzie ministra na mercedesa. Wtedy bowiem — stwierdził — mnie stać będzie na »malucha«". W atmosferze urawniłowki można co najwyżej robić futbol po albańsku, a i to nie do końca.

Baza? Nie ma w Polsce ani jednego, powtarzam, ani jednego stadionu, którego płyta, jakość oświetlenia i zaplecze spełniałyby do końca wymogi norm międzynarodowych. Stadion Śląski się postarzał, Stadion Dziesięciolecia przenaczono na zmarnowanie, a stadiony klubowe mają do zaoferowania jedynie brud, szarzyznę i wądoły. Dla młodzików, juniorów i trampkarzy, ba, i dla wielu seniorów brakuje sprzętu, drabinek, sali z prysznicem czy najzwyklejszej szatni. Nikomu nie przyszło do głowy, że w naszym klimacie często padają deszcze a wczesna wiosna i późna jesienią, nawet śniegi. Kibic skazany jest na ziębnięcie, na twarde ławy i co najwyżej lurowata oranżada z obsmarkanej budki. A jednak futbol obraca milionami. Profesor Józef Lipiec pytał na konferencji w Dębicy, gdzie podziały się owe krocie płynące swego czasu z różnych źródeł na piłkę nożną. Odpowiedzi nie dostaliśmy.

Nadbudowa? Piłkarze i trenerzy? O manierach zawodniczych napisano już niemal wszystko. Upadek moralny, pazerność, niesportowy tryb życia, zachowanie á la primadonna. Ale to przecież nie piłkarze stworzyli system, w którym da się brylować; w którym jedno dokładniejsze kopnięcie piłki nagradza się talonami na samochody, mieszkaniami i gwiazdką z nieba. To nie oni wymyślili ligomanię, na bazie której trzecioligowy Górnik Łęczna rozgrywa mecze nawet w Rzeszowie. A to oznacza koszty transportu, nocleg w dobrym, rzecz jasna, hotelu, diety i sute wyżywienie. Sprawa przy tym wcale nie w redukowaniu lig, a przeciwnie, w ich mnożeniu (musimy przecież optować ku owemu milionowi graczy), lecz w ujęciu regionalnym, lokalnym, bez wielodniowych wycieczek krajoznawczych. A owe „przepychanki" o co zdolniejszych juniorów, wojaże po terenie dla kaptowania coraz to młodszych gladiatorów, bezkompromisowe „porwania" i „zajazdy" potentatów na plebejuszy? A owe wyreżyserowane mecze, nabijanie ludzi w „butelkę", zaskakujące wyniki przeciwne prawom fizyki bramki? A sędziowie? A ustalenia przy „zielonym stoliku"? A wyprzedaż wszystkiego, co tylko sprawniej się rusza, za twardą walutę? A, a, a?

O aktualnym stanie polskiej piłki nożnej powiedziano w Dębicy wszystko lub prawie wszystko. Może nawet powiedziano więcej o stanie na dziś niż o przyszłości. Ale o przyszłości też było. Dr Józef Dziąsko przedstawił słynny „trójkąt" PZPN, czyli proponowany system szkolenia piłkarzy wszystkich grup wiekowych. Ma to odwrócona piramidę znów ulokować na podstawie. Chodzi o odbudowę piłkarstwa „na dole", o ponowne umasowienie tego sportu, o stworzenie emocjonalnych i ambicjonalnych motywacji do podnoszenia własnych umiejętności. Wszystko to zabrzmiało sensownie, rozłożone zostało w czasowych konkretach (5—6 lat, by efekty stały się widoczne) i jakby trochę zbyt «strukturalnie». Było nie było jednak, pewien schemat, konkretny program już jest. A to także coś. Nie można jedynie owych struktur, jak słusznie zauważył jeden z dziennikarzy, nadmiernie fetyszyzować i należy je bezustannie poddawać weryfikującej korekcie dnia powszedniego. Cały wszakże projekt, wypracowany zresztą pod kierunkiem trenera Kazimierza Górskiego wzbudził co najmniej umiarkowany optymizm.

Nadchodzące eliminacje do Mistrzostw Świata będą miały nie tylko dla naszego piłkarstwa ogromne znaczenie. Przecież z dewizowych aonaży wypracowanych przez futbol długo żył i obficie czerpał cały polski sport. Niepowodzenie w przedbiegach do Mundialu '90 oznaczałoby więc prawdopodobnie ostatni przysłowiowy gwóźdź do trumny dla wielu dyscyplin. Z drugiej wszakże strony wręcz koniecznością chwili staje się dla PZPN wypracowanie własnej niezależnej osobowości prawnej. Owe wspomniane na początku miliony roztrwonili przecież nie tylko, a może nawet i nie przede wszystkim, ludzie futbolu. Samodzielność organizacyjna i funkcjonalna powinna być, moim zdaniem, sprawą dla związku priorytetową.

W obliczu wszystkich tych faktów mówiono w Dębicy najwięcej o pierwszej reprezentacji narodowej. Tu bowiem istnieje możliwość działań doraźnych efektywnych, wymiernych; działań, które muszą być podjęte, by zrealizować ważny, a przecież ściśle określony w czasie cel. Mimo bowiem opłakanego poziomu naszej ligi, reprezentacje stać, i taka była powszechna opinia, na pomyślne pokonanie eliminacyjnej przeszkody. Po pierwsze dlatego, że poziom gry jedenastki narodowej nigdy nie miał u nas ścisłego związku z poziomem prezentowanym przez nasze drużyny klubowe (w „srebrnej" reprezentacji Kazimierza Górskiego grał zaledwie jeden przedstawiciel aktualnego wówczas mistrza Polski Ruchu Chorzów — Zygmunt Maszczyk), a po drugie dlatego, że dla osiągnięcia tego celu znajdą się odpowiednie środki i odpowiedni klimat. Wynikało to jasno, zresztą nie po raz pierwszy, z informacji docierających nie tylko z piłkarskiej centrali, lecz także z Komitetu do spraw Sportu i Młodzieży. By wszakże cel ten zrealizować, potrzeba natychmiastowych i energicznych działań.

I tu wciąż pozostaje otwarta sprawa selekcjonera narodowej reprezentacji. Głosy dziennikarskie były w tym względzie bardzo niecierpliwe i pełne goryczy. Prezes PZPN Zbigniew Jabłoński powiedział, że praca trenera Łazarka poddawana jest obecnie szczegółowej analizie. Związek nie zamierza jednak podejmować żadnych pochopnych ani emocjonalnych decyzji.

Gdy Wojciech Łazarek obejmował funkcję selekcjonera reprezentacji narodowej, towarzyszyła mu wyłącznie życzliwość: prasy i opinii publicznej. Obecnie sytuacja uległa radykalnej zmianie. I nie chodzi tu wyłącznie o wyniki, a nawet o poziom gry kierowanej przez niego drużyny. Chodzi o metodę. Ponad pięćdziesięciu zawodników, w tym wielu drugoligowych, przewijających się w ciągu roku przez reprezentacyjne szeregi nie sprzyja chyba obiektywnie rzecz biorąc budowaniu jakiejkolwiek koncepcji szkoleniowej. Towarzyszy temu niekonsekwencja w odniesieniu do piłkarzy grających poza granicami kraju. Tymczasem przed mundialowymi eliminacjami sprawa jasnej koncepcji ma znaczenie podstawowe. Wynegocjowano korzystne, jak się zdaje, terminy spotkań eliminacyjnych, dają one naszemu piłkarstwu ponad roczny „oddech" na skonsolidowanie wszystkiego co najlepsze. Takiej szansy nie wolno przegapić. Na dalsze chaotyczne eksperymenty po prostu nas nie stać.

Patrząc na dębickie spotkanie z oddalenia nie mogę się oprzeć kilku ogólniejszym refleksjom. Piłka nożna nie jest dyscypliną strukturalnie i organizacyjnie oderwaną od całego polskiego sportu. Kryzys pewnych wartości, spadek poziomu rozgrywek, brak autentycznych sukcesów są udziałem nie tylko polskiego piłkarstwa. Nękają cały polski sport, który z kolei nie jest przecież tworem oderwanym od całokształtu naszego życia gospodarczego i społecznego. Tutaj tymczasem także nie odnotowujemy euforii.

Słowem, na kryzys w polskim sporcie, w tym także w piłce nożnej, należy patrzeć przez szeroki pryzmat. Wspominał ten fakt minister Brzostowski, mówiąc iż zdrowa i prężna gospodarka wydźwignie zawsze także i sport, słaba i chora — i sport także pogrążył. To po pierwsze. Po drugie zaś absolutną koniecznością staje się ostateczne i jednoznaczne uregulowanie całego systemu, w jakim ma funkcjonować nasz futbol. Należy stworzyć taką sytuację, aby na poziomie trzeciej ligi i niżej funkcjonował on na zasadach prawdziwego amatorstwa. Jak wspomniał ktoś w Dębicy w Szwecji istnieje dwadzieścia lig przy czym w tej, dajmy na to, dziesiątej grają faceci, którzy po prostu chcą sobie w niedzielę pobiegać na świeżym powietrzu, a na mecz wyjeżdżają co najwyżej na odległość dwudziestu kilometrów.

Istnieje także pilna konieczność unormowania statusu i pozycji naszych trenerów ligowych tak, aby nie był to wreszcie zawód pożarniczego, ani, z drugiej strony, nagle niechcianego „pechowca". Obecna fluktuacja trenerskich kadr sprzyja tym o twardych łokciach hochsztaplerom i „szarlatanom". System pełnego zawodowstwa nie ma, jak sądzę, u nas szans na całkowite powodzenie. Utrzymując więc stan swoistego kompromisu, należy chyba zadbać o to, by jak najszerzej wkraczały do futbolu zasady zdrowej konkurencji, niehamowanej inicjatywy i przedsiębiorczości, ekonomii, których prawidła dobrze znane są od dawna całemu światu.

PZPN musi także usadowić się sensownie w strukturze polskiej piłki. Skoro nie posiada władzy wykonawczej, nie dysponuje środkami skutecznego nacisku, ustawicznie stawiany jest pod murem sprzecznych interesów i wynikających z tego wykluczających się decyzji, powinien chyba skoncentrować się na roli sternika, koordynatora a nade wszystko opiekuna narodowej reprezentacji. W istocie bowiem polskiej piłce nożnej potrzebne są jedynie naturalne mechanizmy które odpowiednio wyreguluje już życie. Jest ona właśnie takim samoregulującym się obszarem, gdzie wszystkie anomalia mają swe źródło w nieżyciowych przepisach.

Jeśli coś z atmosfery naturalnego „działania się" choćby „Igloopolu" przeniknie do sztabu szykującego polską reprezentację na Mundial '90 niejeden kibic przecierał będzie oczy ze zdumienia.

W czystym pejzażu Afryki

Mirosław Derecki

URODZIŁA się w Danii, w zamożnej rodzinie ziemiańskiej; studiowała rysunek w Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze; była osobą nie zważającą na konwenanse (szczególnie, jeśli chodzi o relacje męsko-damskie), co na początku naszego wieku wciąż jeszcze wydawało się rzeczą skandaliczną; pierwsze utwory literackie opublikowała, mając lat dwadzieścia; gdy miała niespełna lat trzydzieści, wyjechała do Afryki, gdzie kupiła w Kenii farmę i wyszła za mąż za bliźniaczego brata swojego niedawnego kochanka, zostając baronową Blixen-Finecke. Słowem — chodzi o autorkę znanej książki „Pożegnanie z Afryką", Karen Blixen-Finecke, pisującą pod męskim pseudonimem: Isak Dinesen.

„Pożegnanie z Afryką" ukazało się na półkach księgarskich w 1937 r., kiedy autorka liczyła już pięćdziesiąt dwa lata, i było swoistym odbiciem przeżyć i doświadczeń Karen Blixen z jej osiemnastoletniego pobytu w Kenii, zmagań z tamtejszą przyrodą, tamtejszymi stosunkami i... z samą sobą. Doświadczenia afrykańskie zostały, notabene, zawarte również w innych książkach autorki: w „Listach z Afryki", „Cieniach wśród traw"...

Zmarła Karen Blixen w bardzo już podeszłym wieku, w 1962 r. (urodziła się w 1885 r. jako Karen Christence), nigdy więcej nie postawiwszy stopy na afrykańskim gruncie. Jej pożegnanie z Afryką w 1931 r. — kiedy to wróciła do Europy — było ostateczne i nieodwołalne.

Nakręcony w 1986 r. przez znanego amerykańskiego reżysera Sydneya Pollacka film „Pożegnanie z Afryką" (z udziałem takich znakomitości aktorskich, jak Meryl Streep, Robert Redford i Klaus Maria Brandauer), film obsypany aż siedmioma „Oscarami", uhonorowany nagrodami tej miary, co „Złoty Glob" i „David Wark Griffith", powstał głównie w oparciu o książkę pod tym samym tytułem. Ale także o wspomniane tutaj inne książki Karen Blixen oraz o poświęcone autorce dwie książki biograficzne. Niech więc czytelników wydanego także w Polsce „Pożegnania z Afryką" nie dziwią pewne różnice pomiędzy literackim pierwowzorem a ekranowym efektem filmowej adaptacji tej (ale nie tylko tej) książki.

Karen Blixen-Finecke spędziła, jak się już rzekło, na swej kenijskiej farmie osiemnaście lat. Autorzy filmu „skrócili" okres pobytu bohaterki w Afryce do lat dziesięciu. Na ekranie historia pobytu Karen w Kenii, jej nieudanego pożycia z mężem, Bronem von Blixen-Finecke (Klaus Maria Brandauer), oraz uczuciowego związku z amerykańskim myśliwym, organizatorem safari, Denysem Finchem Hattonem (Robert Redford), rozgrywa się pomiędzy rokiem 1913 a 1922. I nie chodziło scenarzyście i reżyserowi filmu „Pożegnanie z Afryką" (tej „romantycznej historii miłości dwojga osób o odmiennych charakterach i spojrzeniu na świat, utrzymanej w stylu nostalgicznego poszukiwania atmosfery minionej epoki" — jak słusznie zauważa jeden z krytyków) jedynie o „uwiecznienie" bohaterki filmu w latach, kiedy jest jeszcze atrakcyjna, młoda i piękna. Także o co innego, może dużo ważniejszego: o oddanie nastroju, kolorytu, specyfiki życia w koloniach na przełomie dwóch epok — tej przed i tej zaraz po pierwszej wojnie światowej. Również o uchwycenie momentu przełomu, jaki dokonał się w ciągu zaledwie kilku lat wojny (nic to, że toczącej się na dalekim, europejskim kontynencie) w tutejszej mentalności (zarówno białych, jak i czarnych), w technice, a co za za tym idzie — także w stylu i sposobie życia w afrykańskim buszu.

Gdy Karen (świetna w tej roli Meryl Streep) przybywa w 1913 roku do Nairobi, wyznacznik postępu i europejskiej cywilizacji na tych terenach stanowi wolno sunący przez morze sawanny, niemal zagubiony wśród rozległych afrykańskich przestrzeni — pociąg parowy. Spalinowy samochód jest tu jeszcze dziwem techniki, sprowadzanym z Europy na zasadzie oryginalnego hobby i przegrywającym na bezdrożach z koniem, a jeszcze bardziej... ze słoniem jako wierzchowcem. Ale wkrótce po wojnie pojawi się nad sawanną pierwszy prywatny samolot. I wtedy zacznie się dopiero prawdziwe ujarzmianie afrykańskiej przestrzeni. A także, co ważniejsze, jej przyrody przez białego człowieka.

Borykająca się z życiem i przyrodą, żyjąca na odległej, pełnej zewsząd czyhających niebezpieczeństw, farmie, rozbudowująca swoją plantację kawy, Karen musiała dotąd, chcąc nie chcąc, dostosować się do reguł życia wynikających z zastanej, wszechobowiązującej, odwiecznej rzeczywistości. Mogła mieć w swym wygodnym kolonialnym domu starą duńską porcelanę i fortepian, ale sposób jej życia był, w istocie, niewiele odbiegający od relacji zachodzących pomiędzy przyrodą a żyjącymi w okolicznych wioskach czarnymi tubylcami. Odważny łowca Denys Finch Hatton, chociaż zaopatrzony w nowoczesny sztucer z lunetą, musiał zwierzynę tropić, podchodzić i ponosić ryzyko podobnie jak towarzyszący mu Masajowie uzbrojeni w dzidy.

Dotychczasowa technika: sztucer, patefon, dzięki któremu można w sercu sawanny słuchać Mozarta, lampa naftowa czy nawet parowa lokomobila opalana drewnem, poruszająca niezbyt skomplikowane maszyny na plantacji — ta „technika" jedynie ułatwiała życie białemu człowiekowi, nie przyzwyczajonemu do tutejszych warunków. Teraz pojawił się samolot: biały człowiek zawisnął wysoko, bezpiecznie ponad sawanną, bez trudu sięgając wzrokiem do samego jej jądra. Już nie będzie dla niego tajemnic. Dojrzy, wyśledzi, zabije — silny i nietykalny. Jeszcze trochę, a zacznie się polować na zwierzynę przy pomocy samochodów, wytropiwszy ją wcześniej z samolotu. Jeszcze kilka lat, i pojawi się radio, dzięki któremu będzie można nawiązać kontakt pomiędzy bazą a najdalszym zakątkiem buszu...

I może to właśnie dlatego Denys Finch Hatton, człowiek, który ukochał wolność i Afrykę taką, jaką poznał, gdy tutaj przybył przed laty, m u s i zginąć pod szczątkami własnego, niedawno kupionego samolotu. Bo ta maszyna stoi w ewidentnej sprzeczności z całą istotą jego życia, wtopionego w prawdziwe życie sawanny. Z podobnych powodów n i g d y nie powróci już do Afryki pisarka Karen Blixen.

Paradoksalnie, właśnie d z i ę k i zdjęciom dokonywanym z samolotu, mógł operator David Watkin w sposób tak niewymownie piękny, tak niezwykły i tak oryginalny ukazać wspaniałość afrykańskiego krajobrazu, jego przestrzeni, istotę afrykańskiej przyrody. Mógł tego, skądinąd, dokonać tylko z pokładu takiej maszyny, jaka płynęła jeszcze w powietrzu jak ptak, a nie pędziła z zawrotną, ślepą szybkością odrzutowca...

Krytycy „Pożegnania z Afryką" mają za złe reżyserowi, a to — że obraz pozbawił „akcentów społecznych", a to — że nie dostrzegł „duszy czarnego człowieka", a to — że w Karen nie ma... „nic z naszych siłaczek czy doktorów Judymów. Nie ma nic z Bronisława Malinowskiego, ani nawet Stasia i Nel. Jest tylko dumna Europejka, uzurpująca sobie prawo do zapanowania nad duszą Afryki. I za to spotyka ją kara. Za egoizm i dumę".

Boże! Czy naprawdę każdy film musi nieść zaraz ze sobą niezaprzeczalne wartości oraz głębie „Pancernika Potiomkina"?! Czy należy zaraz rozliczać Sydneya Pollacka za to, że nie zrobił, jak zazwyczaj filmu „społecznie ambitnego", „rozliczeniowego" itp.?

A może on, kręcąc ową piękną, o szerokim oddechu opowieść o ludziach i nieskażonej przyrodzie, r o z l i c z a się właśnie z naszym współczesnym światem? Który zatruwa i niszczy czyste powietrze, zieleń, błękit nieba. To wszystko, wśród czego człowiek żył i kształtował się od tysięcy lat...

Pani Maria

W SEKWENCJACH filmu z lubelskiego życia literackiego ostatnich lat czterdziestu czterech widnieje postać pani starszej i pani ruchliwej. Maria Bechczyc-Rudnicka. Zawsze w nurcie inicjatyw, zawsze koło pierwszego planu. Tym dała się poznać lubelskim widzom.

Do Lublina przybyła nie całkiem w pierwszych dniach jego tymczasowej stołeczności, trafiła więc na czas, kiedy pewne organizacyjne struktury centralne zostały już uformowane. Nie weszła w nie. Trafiwszy do redakcji „Odrodzenia", w spotkaniu z Przybosiem rzuciła myśl reaktywowania przedwojennego Stowarzyszenia Literatów i Dziennikarzy, ale Przyboś — ten zwolennik konkretu, a niemal parnasista w sprawach czystości i wyłączności języka poetyckiego — zaoponował. Pamiętam szczególik tej sceny, która sama była zwiewnym szczególikiem. Zachnął się:

— Dziennikarzy?

— Tak, wszystkich parających się piórem.

— To może i gęsiarek, one też z piórami mają do czynienia.

Maria Bechczyc-Rudnicka, mimo że rodowita warszawianka, nie wróciła do swego miasta z falą powojennej migracji. Lubelska prasa, szczególnie „Życie Lubelskie", tyła inkrustowana notatkami podpisanymi „m. b. r.", dotyczącymi przejawów życia teatralnego, literackiego, muzycznego. Kto zacz? Intrygowała systematyczność tych publikacyjek, szczególnie w warunkach nieprzeludnienia stanu autorskiego w tym czasie a więc wtedy, kiedy współpracownikom gazet raczej trudno było zachować incognito.

Ruchliwa pani nie tylko zabiegała o to, by być au courant, czyli w kursie dzieła, ale również miała łatwy dostęp do źródeł tych informacji jako zastępca kierownika Wojewódzkiego Wydziału Kultury. Funkcja administracyjna, więc gdzie tu do zajęcia, któremu patronuje syn Zeusa i Latony, opiekun muz, natchniony Apollo? Starsza pani musiała być na agorze, nie wszystek czas zajmowała jej skupiona cisza artystycznego ermitażu. To właśnie było wyznacznikiem jej osobowości: obecność „zaliczenie", wpisanie się w tok zdarzeń w sposób ewidentny, bo fizyczny. I to charakterystycznością jej postaci w panoramie lubelskich indywidualności. Ale czy gabinet figur woskowych to ilustracja samych tylko dokonań twórczych? Nie wyrazów twarzy zdradzających ten jeden, nie powielony rys charakteru? Nie postawy właściwej temu jednemu komuś przy przedzieraniu się przez obszary zdarzeń i zamiarów, zwane życiem?

Lublin obfitował w osobistości charakterystyczne. Araszkiewicz, Bielski, Gralewski, Ziółkowski, L. Siemion. Jakże uboższa byłaby materia jego anegdoty bez ich nawyków, śmiesznostek, żartów i kontrowersyjek. Franz Fischer, profesjonalny kibic międzywojennej literackiej „warszawki", wszedł do jej legendy, nie zostawiwszy po sobie ani jednego drukowanego słowa. Tuż-powojenny Lublin temu stylowi współżycia w kulturze dawał sposobność szczególną: brak platform działania zorganizowanego, niedostatek źródeł publikacji. Literackiego pisma nie było, dzienniki produkt piór przyjmowały o tyle, o ile prywatne skonności do tego mieli naczelni redaktorzy, albo ich żo-

Od mgły nad Lublinem do gwiazd nad Worszą

Rozmowa ze Zbigniewem Staweckim, autorem znanych przebojów

— Od ponad trzydziestu lat tworzysz teksty piosenek; piszesz dla Ireny Santor (m.in. „Zapamiętaj, że to ja"), Jerzego Połomskiego („Co mówi wiatr"), Haliny Kunickiej („Czumbalatajka"), Ireny Jarockiej („Kocha się raz"), Zdzisławy Sośnickiej („Codziennie pomyśl o mnie chociaż raz"); piosenki z twoimi słowami śpiewali Anna German („Dla synka") i Anna Jantar („Rosyjskie pierniki"). Jesteś jednym z czołowych w kraju autorów tekstów piosenkarskich. Powiedz, ile ich napisałeś?

— Licząc wszystkie formy, łącznie z estradowymi skeczami, monologami itp., około tysiąca.

— Zaczynałeś na początku lat pięćdziesiątych w Lublinie, jeszcze podczas studiów polonistycznych na KUL-u. Wtedy to właśnie powstała piosenka „Mgła nad Lublinem" z twoimi słowami i muzyką Mariusza Czarnieckiego, wykonywana na deskach Teatru Akademickiego KUL (z którym byłeś silnie związany) w rewii „Kolorowy zawrót głowy". Jednak startowałeś przede wszystkim nie jako „tekściarz", ale jako poeta. I to chyba na łamach „Kameny"?

— Właściwie to debiutowałem w „Tygodniku Powszechnym" kilkoma wierszami wchodzącymi w skład cyklu: „Pastelowa kredka". A jeśli chodzi o „Kamenę" to na jej łamy trafiłem wkrótce potem, za sprawą konkursu poetyckiego, ogłoszonego w 1956 r. przez Koło Młodych przy Lubelskim Oddziale ZLP. Był to konkurs otwarty, więc choć nie należałem do Koła Młodych (działałem natomiast w Kole Polonistów na KUL-u) przystąpiłem do niego. Dostałem II nagrodę za kilka zaprezentowanych wierszy. Potem zostały one wydrukowane w „Kamenie". Przypominam sobie, że po wakacjach jesienią 1956 r. czytałem nawet te wiersze podczas wieczoru autorskiego zorganizowanego w Klubie „Nora" przy Krakowskim Przedmieściu. Przyjechałem, nawiasem mówiąc na ów wieczór z Warszawy już jako świeżo upieczony student Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

— Zawsze interesował cię teatr?

— W każdym razie od dawna. Stąd moja działalność w Teatrze Akademickim KUL, stąd obecność na seminarium z dziedziny dramatu, prowadzonym przez prof. Irenę Sławińską i także temat pracy magisterskiej: monografia twórczości dramatycznej Mariana Gawalewicza.

— Jednakże mimo tych teatralnych zainteresowań, w pewnym momencie zdecydowałeś się na odejście ze szkoły aktorskiej. Poświęciłeś się piosence. To znaczy pisaniu tekstów piosenek. Dziedzinie która w lubelskich czasach pozostawała na marginesie twoich literackich zainteresowań.

— Tak. W pewnym momencie uświadomiłem sobie wyraźnie, że tak naprawdę aktorstwo jako zawód mnie nie interesuje. Natomiast muszę podkreślić, pobyt w szkole teatralnej bardzo mi pomógł w poznaniu i zrozumieniu „kuchni" teatralno-estradowej, co bardzo się przydało w warsztacie „tekściarza". Może właśnie dlatego lubię pisać dla konkretnego wykonawcy, orientując się w jego możliwościach interpretacyjnych i w rodzaju tekstu, jaki mu najbardziej leży.

— Czy to znaczy, że masz swoich ulubionych wykonawców? Takich, z którymi się niejako identyfikujesz?

ny. Co zostawało? Rozmowy, wspomnienia, projekty. Pobocze literatury obfitujące w słowa nie pisane, lecz mówione. Od przybysza, pochodzącego z ośrodka znaczniejszego, zwykle padało: „Tak, w Lublinie czuć prowincję". Przybysz zaraz dodawał: „Oczywiście w znaczeniu dodatnim" i mogło to nie być tylko kurtuazyjnym złagodzeniem oceny, niemniej Lublin tych czasów to Lublin mówiony.

Aliści. Nie od razu odebrano nam wszystko przydzielone przez awans stołeczności. Został Juliusz Kleiner, Jan Parandowski, Jerzy Kowalski, Jerzy Eugeniusz Płomieński, został apetyt na wizytówkę, do niedawna przecież jakże możliwy do zaspokojenia przez klimat i wiatr wolności. Przy założeniu Lubelskiego Klubu Literackiego, którego prezesurę objął Kleiner, nie mogło zabraknąć Marii Bechczyc-Rudnickiej. Klub pełnił funkcję publikatora literackich tekstów w stopniu wyższym, niż miejscowe gazety. Wprawdzie owych tekstów się nie czytało, tylko je słyszało, ale i ta forma wyjścia ku odbiorcy miała swoje znaczenie, tym bardziej, że atmosfera dyskusyjności powodowała zaangażowanie szerokich kręgów ludzi literaturą zainteresowanych. A dyskusji — jak później — nie trzeba było ciągnąć za włosy. Trup padał gęsto, nieraz w zajęciach klubowych brakowało miejsc nawet na parapetach okiennych.

Jedną z imprez był poranek autorski Gałczyńskiego. Miał i on swój wtór w rejestrze kuluarowym. Po poranku należało Gałczyńskiego zaprosić na obiad i tak się stało. „U Radzymińskiego", czyli w dzisiejszej restauracji „Powszechna". Pani Maria na temat poezji, jako nie leżący w jej zainteresowaniach (zresztą nie lirykę podano w wazie), nie kwapiła się zabrać głosu, za to — słowo naocznego świadka — nie ociągała się z przyjmowaniem płynu, którego miano znalazło się w tytule znanej w tym gronie ody Konrada Bielskiego.

I właśnie casus Bielski w życiu Bechczyc-Rudnickiej. Szczególny. Publicznie opozycjoniści, jedna drugiemu i drugi pierwszej odmawiali osiągnięć literackich, w kwestiach wnoszonych na zebrania zawsze „na dwóch przeciwnych słońcach", niemal wrrr-wrr. Co nie przeszkadzało umawiać się wspólnie na koncerty lubelskiej filharmonii. Więc co? Widocznie zamiłowanie do muzyki Wieniawskiego, a w środowisku walka o pierwsze skrzypce należne postaci najcharakterystyczniejszej. Jakoż wychodził remis i w sprawowaniu funkcji w Lubelskim Oddziale ZLP. Może nawet z pewną przewagą dla damy. Pełniła bowiem większą liczbę funkcji w tym zarządzie, niż jej — fikcyjny — opozycjonista, bo mistrz Konrad nadawał się tylko na prezesa.

A zainteresowanie teatrem? Przypuszczam, jeśli wolno — a konwencja wspomnienia to dopuszcza — że ta w gruncie rzeczy z racji wieku tradycjonalistka nie miała uznania dla awangardowych nowalijek w teatrze. Orientowała się w tej dziedzinie dokładnie, przecież członek SPATiF, ITI, kolegium redakcyjnego dwutygodnika „Teatr", recenzent teatralny „Kameny", tłumaczka (wraz z Konradem Eberhardem) „Krzeseł" Ionesco i Audibertiego „Zło krąży", jednak trudno przypuścić, by nowoczesne wypady w stronę przeciwną zasadzie trzech jedności frapowały panią Marię od strony artystycznej, nie sensacyjnej. Kiedy nawet klasykę wystawiało się w kostiumie awangardowych oryginalnostek (osławiona Hanuszkiewicza reżyseria „Balladyny"), ktoś nie objęty umową o wspaniałości szat nagiego króla musiał znaleźć się na aucie, a pani Bechczyc musiała być en vogue. Stąd nieustanne wyjazdy na sympozja, przeglądanie zagranicznych czasopism i biuletynów, korespondencja z czołowymi w Polsce przedstawicielami eksperymentów i supernowoczesności. Ile w redakcji „Kameny" musieliśmy się nasłuchać o listach od Różewicza! A nie mógł nie dojść podziw dla jej niewyczerpanej żywotności. Proszę sobie wyobrazić podróż do Paryża bez organizacji, bez uczestnictwa w grupie, bez pilota, bez kogoś zabiegającego o bilety, posiłki, noclegi. To wszystko w wieku — bagatelka — lat prawie dziewięćdziesięciu!

Kiedy objęła stanowisko naczelnego redaktora „Kameny", stała się ona pismem czterech województw. Oprócz Lublina — Białystok, Kielce, Rzeszów.

Z trzech pozalubelskich na zebrania redakcyjnego kolegium przyjeżdżali przedstawiciele. Było to sposobnością do spotkań koleżeńskich, tak więc lokal na Granicznej 9 przybierał charakter kawiarni. Odległy, pamiętny czas. Pleśniarowicz, Babinicz, Gralewski, Nadulski... Czy nie istotny to czynnik zawsze modnej integracji, która za sprawą rzymskiej boginki obejmowała tak znaczny kawał kraju Lechitów? Pewnie, że nie walkowało się samych spraw ściśle i pragmatycznie redakcyjnych, rozmowy czasem szły na obrotach całkiem dowolnych, ale czy per saldo nie stanowiło to dopingu do wzmożenia potencjału twórczości na tych czterech „tomach" Polski? Czy nie miał racji Stanisław Jerzy Lec, kiedy w jednym z aforyzmów stwierdził, że „literatura rozwija się nie sesjami, lecz obsesjami"? Był w tym pokoiku kawałek literackiego Lublina na co dzień, przychodziło się nie tylko zaproponować tekst, ale również posprzeczać się, pozgadzać, usłyszeć nowinkę i wyjść z nowym kawałem do powtórzenia spotkanemu znajomemu. Do dziś w lokalu związkowym znajduje się portret Marii Bechczyc-Rudnickiej pędzla jednego z najbardziej lubelskich malarzy, Władysława Filipiaka. Ma ona na nim sześćdziesiąt lat. Jaka młoda!

Niewątpliwie nie w stylistyce dzisiejszej refleksji jest to przypatrywanie się rysom twarzy czasu bezpowrotnie przeszłego. Ale właśnie stąd wynika fakt, że pewne jego fenomeny są nie do powtórzenia. Jeden z nich miał na imię Maria Bechczyc-Rudnicka. Starsza pani, której wciąż było za mało teraźniejszości. Która z mieszkania na Pstrowskiego 10 co dzień startowała do nowych pośpiechów i rytmów. **Urodziła się sto lat temu, 1 lutego 1888 r. Sześć jej zabrakło do tego, by uczestniczyć w swoim wiekowym jubileuszu.** A przekonalibyśmy się, jakim nań krokiem weszłaby sprężystym i młodym!

Zygmunt Mikulski

— Tak. Ale staram się pisać dla bardzo różnych piosenkarzy, o bardzo różnych profilach artystycznych. Na przykład od lat współpracuję z „Kapelą Czerniakowską" pod kierunkiem Staśka Wielanka. Ich działalność — nawiązująca do tradycyjnego folkloru warszawskiego — jest zarazem propozycją nowego spojrzenia na ów folklor, z wykorzystaniem obecnych realiów. Właśnie ostatnio ukazał się na rynku wydawniczym ich kolejny longplay — z kolędami warszawskimi. Znalazło się tam także kilka utworów z moimi tekstami, m.in. kolęda „Zapal gwiazdę nad Warszawą".

— Bliska ci jest tzw. „piosenka warszawska"?

— Owszem. I dużo takich właśnie piosenek wyszło spod mojego pióra. Niektóre nagrodzone w konkursach radiowo-telewizyjnych, np. „Halo, Warszawo!" czy „Warszawskie nowe tango". A wykonywała je z dużym sukcesem Ewa Śnieżanka.

— Jak już wspomniałeś, piszesz nie tylko piosenki, lecz i teksty estradowo-kabaretowe.

— Zacząłem kiedyś od współpracy z kabaretem „Wagabunda" potem był Teatr „Syrena" (za czasów dyrekcji Gozdawy i Stępnia), następnie warszawska „Estrada". Nie wspominam już o tekstach dla radia i telewizji. Moim ulubionym rodzajem autorsko-estradowym, jaki sam sobie „wynalazłem", jest formą, którą określiłbym mianem monologu poetyckiego, „łamanego" piosenką.

— ?

— To forma estradowa pisana wierszem (której bohaterem jest sam narrator-wykonawca), dotycząca jakiejś życiowej sprawy bohatera. Takie właśnie monologi pisałem m.in. dla Lidii Wysockiej („Kwiaciarka"), Lidii Korsakówny („Piosenki z plecaka", jakby zwierzenia uczestniczki Powstania Warszawskiego), Hanki Bielickiej („Wszystko o Mariannie" dzieje przekupki warszawskiej), Ireny Eichlerówny („Godzina zamkowa") dla Mariusza Dmochowskiego, Janusza Zakrzeńskiego...

— Jak powstaje tekst piosenki? I których poetów, „uprawiających" pisanie tekstów piosenek najbardziej cenisz? Którzy z nich wywarli największy wpływ na twoją twórczość?

— Było ich dwóch: Tuwim i Hemar. Uważam zresztą, że byli to dwaj najwięksi spośród już nieżyjących, polscy twórcy w tej dziedzinie. A co do „rodzenia się" piosenki... Tu, oczywiście, mogę mówić tylko o sobie i własnych doświadczeniach. Po pierwsze: musi być — co jest oczywiste — pomysł...

— Ba! Ale skąd go brać?!

— Zabrzmi to jak truizm, lecz pomysły leżą na ulicach. Są w tramwajach, w sklepach, w parkach, w rozmowach z przyjaciółmi... Jestem właściwie ciągle nastawiony na „odbiór" i na „rejestrację". Działa przez całą dobę mój prywatny „bank pomysłów". Czasem owe pomysły notuję, czasami nie. Bywa, że pierwszy pomysł realizuje się w gotowej formie prawie natychmiast. Tak było w przypadku piosenki dla Sośnickiej — „Codziennie pomyśl o mnie chociaż raz" napisanej wraz z kompozytorem Jackiem Szczygłem z którym zresztą napisałem najwięcej wspólnych piosenek. Piosenka ta powstała przy pianinie, dosłownie w ciągu czterdziestu minut! Przyszedłem tego dnia do niego do domu, bo umówiliśmy się, że zaczniemy pracować nad nową piosenką dla Sośnickiej. Zaczęło się, jak to zwykle od ogólnej rozmowy. Jacek zaczął „brzdąkać" na pianinie, szukając motywu muzycznego. I nagle krzyknąłem: „Zatrzymaj! To jest właśnie TO!". Z kolei ja sam zacząłem proponować tematy słowne do owego, już przeze mnie „kupionego" tematu muzycznego. I przy jednej z pierwszych propozycji tak zwanego „szlagwortu" Jacek bezapelacyjnie wybrał wiodące zdanie refrenu: „Codziennie pomyśl o mnie chociaż raz..." W dwa dni później Dzidka Sośnicka „ochrzciła" już tę naszą najnowszą piosenkę podczas wielkiego koncertu w Sali Kongresowej. Nawiasem mówiąc, przez całą noc poprzedzającą koncert Jacek robił aranżację muzyczną dla orkiestry.

Zbigniew Stawecki

— No tak, ale to chyba nie zawsze tak lekko przychodzi?

— O, nie! Bywa, że męczę się długo nad tematem, o którym wiem, że jest dobry, ale nie wychodzi mi on tak, jakbym sobie tego życzył. Nawiasem mówiąc, bardzo lubię „docierać" tekst. Nawet już z samym wykonawcą. A zawsze tak robię gdy chodzi o teksty dla Ireny Santor. I co więcej: uwagi Ireny z reguły wychodzą na zdrowie tekstowi. Jest to, dodam, osoba niezwykle solidna i wymagająca w pracy, zarówno od siebie, jak i od innych. Myślę zresztą, że wszyscy ci piosenkarze, dla których piszę, to ludzie świadomi swojej pozycji artystycznej i do zawodu podchodzą bardzo poważnie.

— Jacy wykonawcy odpowiadają ci najbardziej jako autorowi?

— Najogólniej mówiąc, ogromnie lubię takich, którzy „mają głos". To znaczy operują szeroką frazą, tak jak Irena Santor, Zdzisława Sośnicka czy Ewa Śnieżanka. Ale chciałbym zaraz dodać, że bardzo sobie cenię i lubię „piosenkę aktorską", nie wymagającą wielkich walorów wokalnych.

— A którego ze „śpiewających aktorów" najbardziej miło ci się słucha?

— Igi Cembrzyńskiej, Michała Bajora, Marka Kondrata, Krzysztofa Kolbergera, Ewy Wiśniewskiej.

— A kogo z młodszej generacji autorów tekstów piosenkarskich najbardziej cenisz?

— Dając pierwszeństwo paniom, to chyba zacząłbym od Magdy Czapińskiej, która jest autorką doskonałych tekstów dla Edyty Geppert, Danuty Rinn i Hanny Banaszak. A jeśli chodzi o mężczyzn, cenię najbardziej piosenki Jacka Cygana, utwory o oryginalnej metaforyce.

— Wróćmy jednak do twojej twórczości. Piszesz także większe rzeczy dla teatru. Że wspomnę choćby o bloku piosenek z muzyką Jacka Szczygła do adaptacji scenicznej „Pierścienia i róży" Thackeray'a, granej na wielu polskich scenach (ostatnio także w Teatrze Muzycznym w Lublinie). A gdy już mówimy o Lublinie, to — o ile mi wiadomo — masz jeszcze inne, szczególne plany...

— Tak. Dyrektor Andrzej Rozhin zaproponował mi niedawno zaadaptowanie na sztukę muzyczną „Bajki o żelaznym wilku" Wacława Sieroszewskiego i właśnie nad tym obecnie pracuję. Będzie to pełnospektaklowe widowisko słowno-muzyczne. Chciałbym, gdy już mówimy o „innych formach" mojego pisania, wspomnieć o mej wieloletniej współpracy ze Studiem Opracowań Filmów, o pracy w „dubbingu". Otóż opracowuję tam synchroniczne (to znaczy zgadzające się z układem ust na ekranie u obcojęzycznych aktorów w zagranicznych filmach) wersje piosenek i wierszy. Są to, skądinąd świetne ćwiczenia warsztatowe: jednego dnia pisze się „dziecinną" piosenkę dla telewizyjnej „dobranocki" a drugiego osiemnastowieczną „dorosłą" berżeretkę francuską lub... pieśń kościelną! Sporo miałem radości, pisząc tekst bardzo później lubianej przez dzieci piosenki: „Dziadku, drogi dziadku, nie chcemy jeszcze spać..." występującej w NRD-owskim cyklu „dobranocek" — „Piaskowy dziadek"; czy też — pisząc teksty piosenek do emitowanego w TV, podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, angielsko-polskiego filmu „Wodne dzieci".

— Padało często w naszej rozmowie nazwisko kompozytora Jacka Szczygła. Ale to przecież nie jedyny autor muzyki do twoich tekstów?

— Poza Szczygłem — Janusz Sent, Włodzimierz Korcz, Nina Pilchowska, Marek Sewen, Marek

Dokończenie na str. 8

Lublinianin w Paryżu (2)

Czujnym kłusem

Ireneusz J. Kamiński

CENTRUM Naukowe PAN przy rue Lauriston 74, zwane też Ośrodkiem lub Stacją, zajmuje budynek okazały, czteropiętrowy, ale nie wyróżniający się przecież w dwuszeregu kamienic, flankujących tę wąską, kameralną ulicę w zamożnej i spokojnej dzielnicy Paryża, oznaczonej numerem XVI. Na mapie naszej obecności w świecie, nie tak znów imponującej, jest to jednak miejsce szczególne, które w chwilach poetyckiego omdlenia można by nawet określić mianem polskiej ziemi obiecanej nad Sekwaną.

Rzecz w tym, że Centrum zapewnia dach nad głową i inne wygody licznym naszym stypendystom, którzy z sercem drżącym pod portfelami jak naleśniki w barze mlecznym przybywają do stolicy Francji, by rozejrzeć się po świecie i popracować sobie w bogatych bibliotekach, archiwach, muzeach i podobnych przechowalniach ludzkiej wiedzy oraz umiejętności.

Istota rzeczy rozkwita wszak dopiero wtedy, gdy dowiadujemy się, że razem z filialnym budynkiem w innej dzielnicy Paryża, bardziej kolorowej i wesołej, Centrum może jednorazowo przyjąć 100 osób w części hotelowej, oferując im pokoje wygodne, choć skromniejsze od tych, które kryje np. „Aviatic". Ale tutaj, przy Lauriston, za dobę w „dwójce" płaci się raptem 58 franków lub znacznie mniej (uprawnieni do zniżki), podczas gdy wynajęcie pokoju w przeciętnym hotelu śródmieścia kosztuje jakieś 250.

Wspomnijmy przy okazji, że czynsz miesięczny ze wszystkimi świadczeniami (konsjerżka, światło, ogrzewanie, wywózka śmieci etc.) za kawalerkę w kamienicy XVI dzielnicy wynosi bodaj 2500, a tymczasem średnie zarobki nie przekraczają we Francji 7000 franków. Owszem, na takim Montmartre można znaleźć lokum za psie pieniądze, ale będzie to najpewniej dziura na poddaszu, licząca z pięć metrów kwadratowych, pozbawiona okien, z materacem zamiast łóżka. Unoszący się tam zapach cebuli to zwykle wspomnienie po jakimś Arabie lub młodym polskim malarzu, którego artystyczne polowanie na cudzoziemskich „jeleni", uprawiane na pobliskim placu du Tertre, zakończyło się wreszcie sukcesem.

Jak przystało na ośrodek nauki, w budynku przy Lauriston znajdują się nadto sale: konferencyjna, seminaryjna i klubowa.

Krótko mówiąc: tak wygodnego i pojemnego obiektu, służącego stypendystom, nie posiada w Paryżu żaden z pozostałych krajów socjalistycznych.

Z perspektywy doświadczeń prowincjonalnego publicysty, osaczonego na co dzień wysoką tytulaturą pensjonariuszy Centrum, otóż z tak niskiej pozycji świat oglądając, najczulej wspominam miejsca, rzeczy i sytuacje przyziemne, wręcz trywialne, jako to: samoobsługowa kuchnia paryskiej placówki PAN, ulokowana oczywiście w części podziemnej domu.

A wzruszam się chyba dlatego, ponieważ wyposażone w kuchenki gazowe, zlewozmywaki, naczynia i sztućce, szafki na żywność, lodówki i stoły do spożywania posiłków — pomieszczenie to umożliwia bardzo oszczędne gospodarzenie posiadaną walutą i wręcz wymusza na wszystkich stypendystach postawy całkowicie egalitarne, zatem zgodne z pryncypiami naszego ustroju, aktualnymi jeszcze w latach mojej dojrzałej młodości. Taka na przykład lodówkę marki „Polar" (jedna na dwie osoby) dzieliłem z pewnym doktorem inżynierem z Poznania, zupę z puszki podgrzewałem w bliskim sąsiedztwie profesora nadzwyczajnego, doglądającego kartofelki na gazie, domową polędwiczkę kroiłem (cienko) przy jednym stole z damskim biologiem w randze docenta, który korzystając z okazji postawił na odchudzenie swej korpulentnej postaci i zdumiewająco szybko do celu się zbliżał. Wszyscyśmy też smażyli, gotowali lub przyrządzali surówki na jednym oleju: roślinnym, tyle że różnogatunkowym — arachidowym, słonecznikowym czy oliwkowym, zapominając wkrótce o niebywałych właściwościach naszego „rzepaku", którego akurat zabrakło w sklepach Paryża! Zgodnie z przyjętym tam obyczajem, zmywaliśmy po sobie talerze i garnki, zamiataliśmy okruchy ze stołów...

Niezapomniany urok miały też dyskusje kuchenne, choć były one raczej monotematyczne, obracające się wokół dwóch zasadniczych kwestii: polityki i topografii tanich sklepów Paryża. Odwołując się do własnego doświadczenia, solidarnie wzbogacaliśmy listę takich przybytków handlowych o placówki nowe, nie ujęte jeszcze w oficjalnym ogłoszeniu, które wisiało w hallu ośrodka i kierowało czujną uwagę stypendytów m.in. na najbliższy i niedrogi targ warzywny, czynny tylko w wybrane dni tygodnia.

Pogawędki nasze kuchenne miały więc charakter racjonalny i błogosławiony, bo dialektyczny: tematy polityczne powodowały ślinotok i burczenie żołądka, zaś żywnościowe stępiały apetyty, no i wychodził z tego remis egzystencjalny.

Janusz Głowacki vel „Głowa" wykpił był kiedyś, przed laty, sposób bycia polskich stypendytów w Paryżu, znęcając się nad nimi w prozatorskiej książeczce „My sweet Raskolnikow", napisanej, rzec można, przy pomocy cebuli zanurzonej w smalcu z nadwiślańskich prosiaków, oprawionych przez pana Freuda po pięciu butelkach „carlsberga" czy „tuborga".

Niestety, wesoły „Głowa", jeden z pionierów nudyzmu w Polsce, represjonowany nawet za golodupstwo, a dziś przebywający w USA na papierach wziętego ponoć dramaturga, onże autor dał się ponieść imaginacji i wymalował w „Raskolnikowie" obrazek psycho-obyczajowy tak atrakcyjny, że daleko odbiegający od całkiem zwyczajnej rzeczywistości naszego stypendysty nad Sekwaną, któremu faktycznie to czas upływa na obmacywaniu interesującej go dziedziny wiedzy i własnego portfela. Tam naprawdę żyje się z ołówkiem w ręku, a panem jest ten, którego ojczyzna zechciała wyposażyć choćby w 4600 franków na miesiąc. Sporadyczne próby zapomnienia o własnym statusie, manifestowane ucieczką w jakieś drobne szaleństwa typu „Paris by night", z miejsca i bezapelacyjnie są karcone przez reguły wolnorynkowej gry ekonomicznej, które nie mają pobłażania dla indywiduów spod znaku „jakoś to będzie".

Stypendysty nie potrzeba faszerować morałami i pieśnią patriotyczną, bo nad jego dobrym prowadzeniem się skuteczniej czuwają: zawartość portfela, przeliczalny kurs franka (wtedy 5,80 za dolara) oraz świadomość, że może już nigdy więcej nie trafi nad Sekwanę drogą służbową — wąską i zatłoczoną. Nie każdy też posiada przymioty prof. Wiesława Skrzydły, który dawno temu przebywał na Lauriston jako stypendysta, a obecnie jest dyrektorem ośrodka.

Polak na okresowej delegacji we Francji lub pracujący tam w jednej z naszych placówek handlowych, kulturalnych czy dyplomatycznych to w oczach tubylców chodząca kasa oszczędności, żeby nie powiedzieć — pazerności. Oni się nawet bardzo dziwią, że tacy oszczędni ludzie nie potrafią zaprowadzić porządku w gospodarce własnego kraju! Widać Napoleon Bonaparte, wszak geniusz administracji, tak wbił w głowy francuskie respekt dla instytucji państwa, że i dziś trudno im pojąć mechanizm naszej dramatycznej dychotomii: prywatne — społeczne. A może po prostu nie wiedzą, że czarnorynkowy kurs dolara wynosi w Polsce niemal 1500 zł...

Nie będę stroił grymasów sprawiedliwego w stawie pospolitości i wyznam, że tez oszczędzałem, wybierając w tym celu metodę pierwszą z brzegu, perypatetycką. Nachodziłem się więc co niemiara; dystans pięciu czy siedmiu kilometrów to była dla mnie fraszka, taka krajoznawcza wycieczka piechotna w stylu Wojciecha Gersona, albo raczej Pankiewicza i Podkowińskiego.

Jak już wspomniałem, obaj młodzi malarze przyjechali do Paryża w 1889 roku, by rozwinąć swoje talenta i pogłębić wiedzę o sztuce. Zajęli olbrzymią pracownię po Józefie Chełmońskim, wracającym właśnie do kraju, no i malowali, odwiedzali muzea, chłonęli artystowską atmosferę miasta. Żyli oczywiście skromnie, wręcz ascetycznie, mocno oszczędzając na komunikacji i jadłospisie. A ponieważ ich atelier znajdowało się na północ od Łuku Triumfalnego, może półtora kilometra od rue Lauriston 74, zaś tania polska stołówka w kierunku akurat przeciwnym, na południowym krańcu Paryża, zatem nasi przyjaciele dzień w dzień marszem przemierzali tę trasę, tracąc na to pięć kwadransów!

Polityka zaciskania pasa ma przecież swoje granice. W mieszku naszych artystów pokazało się w końcu dno i po dziewięciu zaledwie miesiącach paryskiej przygody Pankiewicz i Podkowiński powrócili do Polski. Inna sprawa, że ów niefortunny incydent nie osłabił miłości pierwszego z nich do Francji, do jej kultury artystycznej, którą konsekwentnie propagował w Polsce, jako profesor krakowskiej ASP. To z zachęty Pankiewicza studenci owej uczelni zawiązali w 1923 roku tzw. Komitet Paryski i na długie lata osiedli nad Sekwaną, gdzie też wkrótce (1925) sam autor krajobrazów z Saint-Tropez (i Kazimierza nad Wisłą) założył stałą filię podwawelskiej Akademii. Francuzi, owszem, docenili zasługi Pankiewicza, udekorowali go Legią Honorową, ale czy zdobyli się na to, by wprowadzić malarstwo Polaka do prestiżowych muzeów paryskich, trudno orzec. Poszukując tam płócien rodowitego lublinianina, stwierdziłem ostatecznie tylko tyle, że jest to zajęcie bezowocne. Niewykluczone przecież, że coś przeoczyłem. Mogłem co prawda udać się jeszcze do źródła wszelkiej wiedzy o Pankiewiczu, którą stanowi pamięć Józefa Czapskiego, ostatniego „kapisty" we Francji, autora pierwszej biografii swojego mistrza i wyrafinowanego malarza, ale na podróż do podparyskiego Maison Laffitte, gdzie onże mieszka i gości redakcję „Kultury", zabrakło mi czasu, środków, większej dezynwoltury. Czapski ma ponad 90 lat...

Pankiewicz i Podkowiński wracali do kraju bez grosza, za pożyczone pieniądze, natomiast właściciel użytkowanej przez nich pracowni, Chełmoński, opuszczał Paryż jako artysta w miarę sławny, a na pewno majętny, co jeszcze dzisiaj zdumiewa, jako że niewielu doprawdy Polakom udała się ta sztuka. Może klucz do zrozumienia źródeł tego sukcesu, chętnie zresztą deprecjonowanego przez uczonych badaczy, tkwi w wierności autora „Babiego lata" wobec własnej, z polska szerokiej natury, poruszanej rytmem rodzimego krajobrazu, rozkołysanej między realistycznym konkretem a romantyczną egzaltacją?!

Chełmoński przebywał w Paryżu lat kilkanaście, w okresie dojrzałego impresjonizmu, wystawiał nawet wespół z Monetem, ale te wszystkie dookolne rewelacje sztuki nie miały nań większego wpływu. W pracowni przy placu Perlire, po której ponoć można było swobodnie jeździć bicyklem (welocypedem?), nieustannie malował kresowe „trójki" i „czwórki", karczmy, chłopów w pejzażu — z pamięci oczywiście! — zyskując niebywałe powodzenie u klienteli lokalnej, ale głównie amerykańskiej, już wtedy penetrującej paryski rynek.

Kto wie, może właśnie Chełmoński był pierwszym polskim artystą, inkasującym honoraria, co dziś częste, w dolarach?!

Jedno nie ulega wątpliwości: że najlepszym naszym towarem eksportowym był i pozostał koń — żywy lub malowany.

Francuzi rozmiłowani są zresztą w koniach, które obecnie zatrudniają w celach prestiżowych, ludycznych, sportowych, hazardowych i terapeutycznych (jazda wierzchem leczy podobno reumatyzm). Konie ciągną tam spore fragmenty kultury, turystyki, rzemiosła i przemysłu, o czym najlepiej świadczy Salon du Cheval, rokrocznie odbywający się w centrum targowym na południu miasta, blisko stacji metra Porte de Versailles, chyba w rejonie, gdzie niegdyś znajdowała się tania jadłodajnia Pankiewicza i Podkowińskiego. Nie byłbym autorem „Koni rubinowych", gdybym tam nie wstąpił, ominąwszy szczęśliwie obowiązek kupienia biletu za 40 franków. No nie, na teren Parc des Expositions nie wlazłem przez płot, diablo zresztą wysoki, ale legalnie, zaproszony przez bladych i mocno opalonych stójkowych, na których wielkie wrażenie wywarła moja legitymacja dziennikarska. Jak dotąd, był to pierwszy realny pożytek waszego donosiciela, drodzy czytelnicy, wyniesiony przezeń z faktu przynależności do SD PRL.

Kiedy wszedłem do hali rozległej niczym boisko piłkarskie, oniemiałem...

(cdn.)

*NN

Hôtel des Voyageurs

Hôtel - Restaurant - Bar

2, rue du Général Leclerc
49220 LE LION D'ANGERS
Tél. 41 95 30 08

Pâtisserie Confiserie Boulangerie

Pointeau

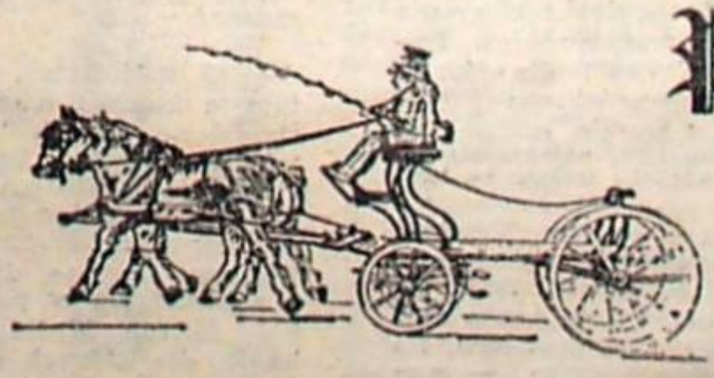

29, rue du Gél Leclerc
Le Lion d'Angers
Tél. 41 95 31 77

Specialités
de Patisseries "Isle Briand", Charlotte, Bastien
Pain "Le Lionnais" fabriqué à l'ancienne

Wolność i ograniczenie w Apokalipsie według Jana Lebensteina

W GALERII Sztuki Sceny Plastycznej KUL w grudniu ub.r. była otwarta ekspozycja prac Jana Lebensteina, inspirowana Apokalipsą św. Jana (Jana z Patmos). Gdyby szukać uzasadnień, które skłoniły Jana Lebensteina do podjęcia tej tematyki, sądzę, iż najtrafniej i najcelniej precyzuje to wiersz Czesława Miłosza pt. „Lektury", którego fragment chciałbym przypomnieć:

Zapytałeś mnie jaka korzyść z Ewangelii czytanej po grecku/Odpowiem, że przystoi abyśmy prowadzili/Palcem wzdłuż liter trwalszych niż kute w kamieniu/Jak też abyśmy z wolna wymawiając głoski/Poznawali prawdziwe dostojeństwo mowy/Przymuszonym uwagą nie dalszy niż wczoraj/Wyda się tamten czas, choć twarze cezarów/Inne dziś na monetach. Ciągle trwa ten eon/Lęk i pragnienie te same, oliwa i wino/I chleb znaczą to samo. Również chwiejność rzeszy/Chciwej jak niegdyś cudów. Nawet obyczaje/Uczty weselne, lęki, płacze po umarłych/Różnią się tylko pozornie...

Wzajemne związki słowa i obrazu, inspiracja tekstem biblijnym mają w kulturze europejskiej długą i piękną historię. Bez specjalnych zabiegów można przytoczyć kilkanaście nazwisk, kilkadziesiąt dzieł powstałych z inspiracji religijnych. Literatura, poezja, muzyka, plastyka — dzieła, które wrosły w naszą świadomość, stając się wspólnym dziedzictwem i dorobkiem ogólnoludzkim.

Szesnaście obrazów Jana Lebensteina eksponowanych jest zgodnie z chronologią tekstu Apokalipsy Jana. To jakby rozpisanie ważniejszych czy bardziej nośnych wizji na szesnaście scen, szesnaście odsłon. Pod każdym obrazem artysta przytacza fragment tekstu Apokalipsy, stąd też możemy uczestniczyć w kolejnych konkretyzacjach plastycznych, mając możliwość porównania ich z własnym widzeniem, własną interpretacją czytanego słowa.

Pierwsza reakcja to zaskoczenie. Zbyt mocno ! zbyt natrętnie wciska się w naszą wyobraźnię XX wiek, ewolucja formy, mitologia oryginalności, łączona zwykle z odejściem od sztuki figuratywnej i mimetyzmu.

Jak Apokalipsa Jana z Patmos rozpięta jest nad dziejami ludzkości, łącząc w sobie teraźniejszość i przyszłość, tak malarska maestria Jana Lebensteina rozpięta jest nad kulturą i sztuką śródziemnomorską, łącząc w sobie przeszłość i teraźniejszość. Lebenstein unika rozwiązań spektakularnych, a „zwyczajność" tych prac skupia w sobie i przetwarza różne tradycje, kultury i epoki. Co jest wyraźnie widoczne, to poddanie się urokowi słowa tekstu. Niezwykła jedność stylistyczna, chociaż obrazy realizowane były (jak wyczytałem w podpisach) w ciągu trzech lat. Podziwiając je, przypomniałem sobie publikowaną wiele lat temu wypowiedź Jerzego Nowosielskiego o ikonach, iż tylko poprzez ograniczenia i w ograniczeniach artysta może doświadczyć wolności twórczej (cytuję z pamięci). Wydaje mi się, iż podobną postawę — odczytując Apokalipsę — reprezentuje Jan Lebenstein. Akceptując tradycję i jakby w nią wtapiając, z jednej strony daje interpretację głęboko osadzoną w przeszłości, z drugiej zaś — uniwersalną i współczesną.

Chciałbym podkreślić jeszcze jedną cechę tych obrazów: chociaż występują w cyklu, narzuca się ich niezależność i autonomiczność, każdy istnieje bez wsparcia następnego.

Bogata symbolika Apokalipsy Jana, potrzeba odczytywania wciąż na nowo niezwykłej wizji musiała także znaleźć odbicie w interpretacji plastycznej Lebensteina. Artysta nie mnoży bytów zła, nie daje popisu swoich możliwości. Symbole zła zostają „obnażone", przy całej agresywności ukazano ich kruchość i przemijanie. Szkielety przedpotopowych stworów kryją w sobie zarodek rozkładu i upadku.

Wszystko ma swój czas — jak powiada Kohelet. Czas Apokalipsy Jana Lebensteina jest czasem uniwersalnym, ale też czasem historycznym, identyfikacji tutaj i teraz, czasem postawy wobec dobra i zła.

Dzieło sztuki jest strukturą otwartą, której sensów i pulsujących odniesień nigdy nie da się wyczerpać. Stąd moja interpretacja jest tylko jedną z wielu, które jak pył kosmiczny nawarstwiają się na przedmiotach. Chociaż nowy „pył" to obiektywizacja społeczna i praktyka artystyczna, bez których dzieło sztuki staje się nic nie znaczącym kawałkiem płótna czy drewna...

Oglądając kolejny raz lubelską wystawę, dochodzę do wniosku, iż artyście udało się połączyć „ogień" z „wodą". Przy niezwykłej dynamice i dramaturgii przedstawiania — dostojeństwo i monumentalizm. Poprzez plastyczną formę nastąpiła jakby estetyzacja symbolu zła!

Walter Benjamin, omawiając straty i zyski wynikające z usytuowania dzieła sztuki w muzeach i w czasach reprodukcji technicznej, podkreśla znamienny fakt przesunięcia się wartości kultowej w stronę wartości ekspozycyjnej. Ów prymat wartości ekspozycyjnej niesie w sobie zanikanie w dziele sztuki kategorii sacrum. Oceniając cykl Jana Lebensteina tylko w wymiarze egzystencjalnym, należy zaakcentować obecność tego pierwiastka. Artysta, nie przekreślając tradycji, nie odrzucając pojęcia obrazu, znalazł w nich swoje miejsce, tworząc dzieła czytelne i nośne.

Zdzisław Toczyński

Okolice sztuki

Piotrowe medytacje

NAPOMKNĄŁEM już kiedyś o akcji Piotra Kmiecia pt. „Dyby", ale nie od rzeczy będzie, eśli powrócę do sprawy, ujmując ją w perspektywie podwójnej: żabiej i z lotu ptaka.

Otóż, podczas pleneru w koszalińskich Osiekach, 9 września 1981 roku, artysta własnowolnie przymknął się w urządzeniu pod nazwą katalogową „Dyby", symbolicznie wymierzając sobie karę, jaką w średniowiecznej Europie stosowano wobec krnąbrnych i występnych chłopów oraz mieszczan.

W sensie semiotycznym wszystko więc było w porządku, bo nie Potocki czy Radziwiłł, lecz — nomen omen — Kmieć tkwił w deskach, które zresztą sam przysposobił do operacji, co należy jednak uznać za dziwne, jako że historia nie odnotowała przypadków pchania się chłopów w dyby, choćby nasączone okowitą.

Problem komplikuje się jeszcze bardziej po przypomnieniu, że konstruując wiadomą aparaturę, złożoną z dwóch grubych desek na solidnych słupach, Kmieć wyżłobił w drewnie trzy otwory: na dłonie i głowę. Tymczasem wiadomo, że klasyczne dyby krępowały albo ręce, albo nogi — w dziurach między deskami, które zbijano drewnianymi gwoździami lub zamykano na kłódkę. Skąd zatem miejsce na głowę w Osiekach?

Zastanawiamy się chwilę, może nawet zachodzimy w głowę, no i dochodzimy do wniosku, że tamto miejsce na głowę pochodzi z Francji, z maszynki zwanej gilotyną. Ucieszeni odkryciem, biegniemy tym tropem dalej i oznajmiamy, że akcja Kmiecia była symbolicznym aktem nieufności artysty wobec feudałów (lud gnębili), a jednocześnie jej ostrze masy ludowe kłuło (zbyt ochoczo panów rezały).

Na koniec nie pozostaje nam już nic innego, jak ogłosić Kmiecia człowiekiem centrum!

A jeśli po przeczytaniu tych naszych rewelacji artysta dostanie oczopląsu i ni stąd, ni zowąd zacznie krzyczeć po węgiersku: „Ezert szamara az alapelmeny, a letezes s annak muveszi, erzeki kifejezese es megjelenitese az elso rangu festoi feladat", pomijając na dodatek wszystkie przecinki i kropki nad literami, no to będziemy już pewni, że zinterpretowaliśmy Kmiecia głęboko i akuratnie, zgodnie z planem, który zarysował się w naszym umyśle i oddala w sferę fałszu to wszystko, co nie odpowiada naszym oczekiwaniom.

W tym zaś przypadku nie przyjmujemy do wiadomości faktu oczywistego, acz zamazanego przez artystę, że Kmieć tkwił w pospolitym gąsiorze, który rzeczywiście obejmuje łapki i głowę delikwenta, nie mając nic wspólnego z wynalazkiem włoskim o nazwie francuskiej, tak wydajnie pracującym w okresie rewolucji 1789 roku.

Lekceważymy też obowiązek przetłumaczenia owego węgierskiego zdania, które rzekomo wyrzucił z siebie Kmieć w chwili uniesienia, podczas gdy po prawdzie to sformułował je dr Lazar Imre, autor wstępu do katalogu indywidualnej wystawy Piotra w Hajdúböszörmény. Odbyła się ona latem minionego roku, miała dobre recenzje, utrwalona została na taśmie filmowej przez telewizję Madziarów...

Chociaż w tym przypadku to my może niczego nie lekceważymy, wprost przeciwnie, bo języka nie znamy, a tajemnicze fonemy są jak fenomeny — respekt budzą...

Semiotyka i dialektyka, konteksty i dystynkcje, komparatystyka i optyka, ontologia i etymologia... Taką uczoną siateczkę można by zarzucić na całą twórczość Piotra Kmiecia, by metodycznie rozłożyć ją na części, z kolei każdą z nich przetrzeć z osobna, obejrzeć pod szkiełkiem powiększającym, odsączyć idee czy znaki, a potem znów zebrać do kupy te cząstki elementarne i oznajmić, że mamy oto do czynienia z dziełem intersubiektywnie sensownym, zrealizowanym przez absolwenta krakowskiej ASP (1974), który zajmując się collagem, malarstwem, rysunkiem,

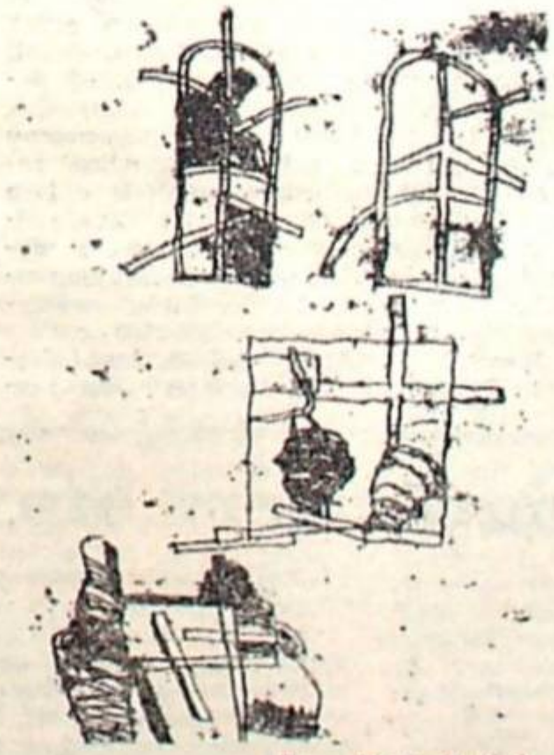

Rys. Piotr Kmieć

nieco rzadziej grafika fotografią oraz strukturami modularnymi w ekoprzestrzeni, posiada znakomity warsztat i jest specyficznie uczulony na relacje między kulturą a naturą, między amorficzną materią a znakiem, co obrazuje na sposób aluzyjny symboliczny, delikatny jak tchnienie przeczucia, w tonacji ściszonej, komponowanej z brązów, bieli, szarości, czerni i ochry, ostatnio — we wzruszającym cyklu węgierskim „Przeobrażenia" — także zieleni.

Można by taką siateczkę narzucić na prace Kmiecia i tak ją zacisnąć, że płótna by popękały, a farba pociekła strugą ciężką. I wtedy dałoby się jeszcze rozpoznać skład chemiczny i cechy fizyczne tych materiałów.

Takimi sposobami udałoby się niechybnie uzyskać sporo konkretnych informacji o collages i drewnianych konstrukcjach stożkowych Kmiecia oplecionych taśmami jak umęczony człowiek bandażem, nie docierając wszakże do istoty przesłania, które przenika nerwowe dukty cieniutkich, falujących linii, krzyżami rozkwitające „konary" kratownice wyżłobione w farbie, ażurowe przebicia płócien, ludzkie sylwetki...

„Signum temporis", „Kontrapunkty", „Natura opisana", „Droga", „Wyczerpany pejzaż", „Przemijanie", „Czarnostany", „Przeobrażenia" — te wszystkie cykle Kmiecia z lat 1974—1987, prezentowane jesienią minionego roku w zamojskiej Galerii Sztuki Współczesnej, a potem, od 17 grudnia, w lubelskim BWA, zatem to całe dzieło nałęczowskiego artysty wymaga od widza tylko jednego: postawy medytacyjnej, albowiem samo stanowi zapis autorskiej medytacji nad człowiekiem, naturą i potrzebą kreacji.

„Wszakże nie chodzi tu o niebo, ani o rozmiary morza i ziemi, ani o dno piekła: to przede wszystkim samych siebie nie możemy pojąć, za wielcy za potężni dla siebie samych, wykraczamy poza ciasne granice naszej wiedzy i nie możemy ogarnąć siebie samych, a przecież nie jesteśmy poza nami samymi".

Nie bez powodu ten cytat ze św. Augustyna Kmieć umieścił w ostatnim (zamojskim) katalogu swojej wystawy.

IJK

Rok 1863 na Litwie, Białorusi i Ukrainie

Dokończenie ze str. 1

bernie litewskie białoruskie i ukraińskie. Był on głównie skierowany przeciwko właścicielom majątków, a więc szlachcie polskiej. Władze, aby zmusić chłopów do wykonywania powinności wobec dworów, wysyłały przeciwko nim wojsko. Dramatyczny opis takich represji wojskowych, w dobrach dereszewickich na Polesiu, dał w swej ostatniej książce-sadze rodzinnej Stefan Kieniewicz („Dereszewicze 1863", Ossolineum 1986).

W przededniu wybuchu powstania antagonizm między dworem a wsią uległ dalszemu zaostrzeniu. Tylko nieliczni przedstawiciele lewicy czerwonych zdawali sobie sprawę, iż aby połączyć ten pełen determinacji i wynikający z przesłanek społecznych ruch chłopski z walką wyzwoleńczą, należy uwolnić chłopów z pańskiego ucisku i dać im możliwość samodzielnego rozwoju narodowego. W takim duchu prowadziła wśród chłopów agitację na terenie Podlasia i Grodzieńszczyzny tzw. grupa białostocka, kierowana przez Bronisława Szwarcego, z którym współpracowali Walery Wróblewski i Konstanty Kalinowski. Ten ostatni od połowy 1862 r. wydawał w języku białoruskim tajne pisemko dla ludu „Mużyckaja Prauda", w którym demaskował ucisk carski i zapowiadał, iż powstanie polskie przyniesie chłopom rzeczywiste swobody. Pod koniec 1862 r. Komitet Centralny skierował Kalinowskiego do Wilna, zajął on czołowe stanowisko w Prowincjonalnym Komitecie Litewskim. Na Litwie i Białorusi czerwoni bazowali w swej działalności głównie na nielicznej grupie inteligencji polskiej. Dążąca do zjednoczenia Litwy i Białorusi z Królestwem Polskim szlachta posiadająca z tych ziem zwalczała agitację czerwonych. Jej poczynaniami kierował „biały" Komitet Obywatelski w Wilnie, na którego czele stał Jakub Gleysztor, właściciel ziemski ze Żmudzi. Kiedy w Kijowie powstał Prowincjonalny Komitet Ruski, całe terytorium ziem zabranych zostało objęte siatką powstańczej konspiracji.

W chwili wybuchu powstania Komitet Centralny jako Tymczasowy Rząd Narodowy ogłosił 22 stycznia 1863 r. Manifest do narodu. Obok Polaków do walki z zaborcą wezwał w nim narody Litwy i Rusi, „pod świętym sztandarem Orła, Pogoni i Archanioła". Tym samym sugerował równe prawa w przyszłym państwie wszystkim trzem narodom. W równie symboliczny sposób stanowisko to uwidoczniło się także w rysunku nowej, tzw. wielkiej pieczęci Rządu Narodowego, w której obok Orła i Pogoni jako trzeci element wystąpił herb Rusi — Michał Archanioł. Wraz z manifestem ogłoszone zostały także dekrety uwłaszczeniowe. Oddawały one na własność włościan uprawianą przez nich ziemię oraz znosiły wszelkie ciążące dotąd na nich powinności natomiast bezrolnym, którzy wezmą udział w walce, przyrzekał 3-morgowy nadział gruntu z dóbr narodowych. Dekrety szły więc znacznie dalej niż carska reforma uwłaszczeniowa. Stwarzały szansę przyciągnięcia do powstania mas chłopskich.

Stało się tak na Litwie. Wprawdzie kierownictwo ruchu powstańczego przejęli tu biali, obsadzając swymi ludźmi kierujący powstaniem Wydział Zarządzania Prowincjami Litwy, ale na hasło walki z zaborcą, obok szlachty, zwłaszcza drobnej, inteligencji, części kleru katolickiego, wystąpili masowo, szczególnie na Kowieńszczyźnie, chłopi. Zasadniczą przyczyną były, zapowiedziane przez rząd carski i niekorzystne dla włościan z licznych tu dóbr narodowych, nowe, podnoszące w dwójnasób czynsze, regulacje. Drugim powodem było prześladowanie i likwidacja, rozbudowanego tu od lat, litewskiego szkolnictwa parafialnego. Jak pisze prof. Kieniewicz, „klasowa i narodowo-litewska opozycja przeciw caratowi znalazły swój wyraz w powstaniu podjętym pod polskim sztandarem". Rychło ogarnęło ono prawie całą Żmudź. Do oddziałów chłopskich, kierowanych przez dowódców cieszących się wśród miejscowej ludności autorytetem, jak ksiądz Antoni Mackiewicz, Bolesław Kołyszko, Bolesław Dłuski (Jabłonowski) czy Jan Staniewicz, przyłączała się młodzież ziemiańska. Na Wileńszczyźnie powstanie opierało się głównie na ludności polskiej, drobnoszlacheckiej i chłopskiej. Natomiast na zachodniej Grodzieńszczyźnie do walki włączyli się także chłopi białoruscy, dzięki czemu długo walczyły tu powstańcze partie Onufrego Duchińskiego i Walerego Wróblewskiego. Prowadzona uprzednio na tym terytorium agitacja czerwonych dała więc pewne wyniki.

Powstanie na Litwie miało swych godnych wspomnienia bohaterów. Jednym z pierwszych, który wyruszył w pole, był Ludwik Narbutt, działający w powiecie lidzkim. Odniósł on zwycięstwa pod Rudnikiem (9 III 1863) i Dubiczami (11 IV 1863). Atakowany bez przerwy przez kolumny wojsk rosyjskich, po bitwie pod Kowalkami (20 IV 1863) musiał rozdzielić swe siły. W dniu 5 maja 1863 r. rozłożył się obozem wraz ze 120 ochotnikami nad jeziorem Pelasia k. Dubicz. Ze wszystkich stron został otoczony przez siły rosyjskie. Idący w pierwszej linii Narbutt zginął na polu walki, a jego oddział został rozbity.

Na początku kwietnia przybył do Wilna Zygmunt Sierakowski, przewidziany już wcześniej na dowódcę powstania litewskiego. Przybrał pseudonim Dołęga. Mianowany wojewodą kowieńskim, objął komendę na Żmudzi, gdzie powstanie miało najbardziej ludowy i masowy charakter. Skoncentrowawszy działające tu oddziały Kołyszki i ks. Mackiewicza, pod Ginietyniami 24 kwietnia 1863 r. wciągnął nieprzyjaciela w zasadzkę i dzięki męstwu chłopskich kosynierów odniósł nad Rosjanami całkowite zwycięstwo. Stanąwszy na kilka dni w zaścianku Teresbór, koło Knebiów formował przybywających do obozu powstańców w bataliony, złożone ze strzelców i kosynierów. Na czele znacznych już sił, liczących około 2,5 tys. ludzi, ruszył trzema kolumnami, nie ukrywając się, w biały dzień ku granicy kurlandzkiej, by wesprzeć powstanie w Inflantach, myślał też o uderzeniu na twierdzę w Dynaburgu.

Postępujący tuż za nim Rosjanie, dowodzeni przez gen. Ganeckiego zaatakowali powstańców w okolicach Birż. Bitwa trwała przez trzy dni. Zrazu pod Medejkami, 7 maja 1863 r., Polacy stawili przeciwnikowi skuteczny opór. Nazajutrz pod Hudyszkami w trakcie zaciętej walki został ranny Dołęga w chwili, gdy wydawał rozkazy; wycofujący się w popłochu powstańcy w starciu tym ponieśli znaczne straty. W trzecim dniu bitwy, zaatakowani przez nieprzyjaciela pod Surkiszkami, poszli w rozsypkę; do niewoli rosyjskiej dostał się Sierakowski oraz Kołyszko, tylko Ignacy Laskowski, mianowany następcą Dołęgi, i ks. Mackiewicz, zabrawszy 400 rozbitków, podjęli dalsze walki. Wraz z Dłuskim i Staniewiczem, staczając wiele potyczek i wymykając się obławom nieprzyjacielskim, prowadzili tu działania partyzanckie do późnej jesieni 1863 r.

Powstanie straciło jednak swój impet. Przyczynił się do tego ukaz carski, wydany pospiesznie 13 marca 1863 r., przyznający chłopom w czterech guberniach północno-zachodnich, objętych powstaniem, uprawianą przez nich ziemię w nieuszczuplonych nadziałach. W ten sposób władze starały się odciągnąć włościan od insurekcji. Na wygaśnięcie walki wpłynął też bezwzględny terror wprowadzony przez Michała Murawiewa, zwanego Wieszatielem, który w maju został mianowany wileńskim generał-gubernatorem. Z jego rozkazu zostali powieszeni schwytani przez Rosjan przywódcy powstania na Litwie: Sierakowski, ksiądz Mackiewicz i Kalinowski oraz wielu innych bojowników walki o wolność.

Na Białorusi, poza wspomnianą już Grodzieńszczyzną, podejmowane szczupłymi siłami miejscowej szlachty akcje zbrojne załamywały się szybko w obliczu niechęci i wrogości mas chłopskich. Doświadczył tego współpracownik Sierakowskiego, Ludwik Zwierzdowski (Topór), który na czele studentów z miejscowej szkoły rolniczej rozbił garnizon rosyjski w Hory — Horkach, w guberni mohylowskiej (5 V 1863). Gdy wyruszył w pole, aby rozszerzyć działania powstańcze, jego liczący 250 ludzi oddział został w kilka dni później osaczony przez wojsko rosyjskie i wspomagających je chłopów. Topór rozpuścił swój oddział, a sam uszedł za granicę. Wcześniej jeszcze, na teren województwa mińskiego wkroczył ze swym oddziałem po bitwie pod Siemiatyczami Roman Rogiński, szczęśliwie walczący dotąd na Podlasiu; ścigał go gen. Nostitz. „Cała przestrzeń, jaką przeszedłem, była jeszcze w uśpieniu" — wspominał Rogiński w swym pamiętniku; szlachta nie kwapiła się tu do walki, a chłopstwo wykazywało wrogą postawę. Po przegranej, nocnej bitwie pod Borkami (22 II 1863) dowódca wraz z rozbitkami przybył do majątku Antoniego Jelińskiego. „Tu nas chłopi całą gromadą otaczają, wrogo przeciw nam usposobieni — pisał dalej Rogiński. — Musieliśmy sobie bronią torować drogę". W Turowie, gdzie znalazł się z jednym ze swych towarzyszy, jak wspomina: „Chłopstwo z popem na czele otoczyło mnie i trzymało przez kilkanaście godzin", wydając ostatecznie w ręce rosyjskie.

Latem i jesienią 1863 r. partyzantkę podtrzymywały tutaj bardziej ukrywające się i kluczące po leśnych ostępach, niż walczące partie Pawła Dybowskiego i Stanisława Laskowskiego. Po kilku potyczkach, stoczonych ze zmiennym szczęściem na terenie województwa grodzieńskiego, przybyła tu także kobryńska partia, dowodzona przez Romualda Traugutta. Po zwycięskiej dla powstańców bitwie pod Woroniami (26 VI 1863), gdzie nieprzyjaciel został wciągnięty w zasadzkę, pod Kołodnem naprowadzone przez chłopów kolumny rosyjskie otoczyły obóz powstańczy i w dwudniowej bitwie (12—13 VII 1863) rozbiły oddział przyszłego dyktatora powstania.

Niewiele szans miało powstanie na Ukrainie. Przy biernej i wyczekującej postawie szlachty, akcję podjęła tu młodzież studencka. Z Kijowa 7 maja 1863 r. wyruszyła 21-osobowa grupa pod przewodnictwem Antoniego Juriewicza. Kolportowali oni wśród ludu tzw. Złotą Hramotę, tj. drukowane złotymi literami po ukraińsku i polsku ogłoszenie uwłaszczenia. Akcja ta nie spotkała się z poparciem, przeciwnie, gdy po odbyciu stukilkudziesięciukilometrowej wędrówki znużeni emisariusze dotarli 9 maja do wsi Sołowijówka, zostali otoczeni przez wrogie im gromady chłopstwa, uzbrojonego w koły, kosy i cepy, zorganizowanego na wezwanie władz carskich. Trzynastu studentów zginęło na miejscu, pozostałych ciężko rannych pojmali Rosjanie. Na dzień przed tym tak tragicznym wydarzeniem wyszło z Kijowa 300 ludzi, przeważnie młodzieży studenckiej i gimnazjalnej, by zainicjować na tym terenie walkę zbrojną. Ścigający ich Rosjanie dopadli powstańców w Borodziance, otoczyli miasteczko i rozproszyli oddział. Niedobitków chwytali chłopi i oddawali w ręce władz. Rozeszły się tu drogi młodzieży polskiej i ukraińskiej, współpracującej wcześniej w Związku Trojnickim. Grupa Antonowicza w imię ukraińskich aspiracji narodowych uznała, iż klęska powstania będzie korzystna, gdyż przyspieszy upadek polskiego obszarnictwa.

Na Wołyniu przez kilka tygodni utrzymywał się pułk jazdy powstańczej, zorganizowany przez Edmunda Różyckiego. Po kilku potyczkach odniósł on świetne zwycięstwo pod Salichą (26 VI 1863). Szarżujące szwadrony polskie rozbiły czworobok piechoty rosyjskiej; przed uzbrojonymi w lance kawalerzystami pierzchli też kozacy. Otoczony przez przeważające siły rosyjskie, nie znajdując znikąd pomocy, Różycki w dwa dni później rozpuścił swój oddział i przekroczył kordon austriacki.

Zdaniem prof. Kieniewicza, sprawę Litwy i Rusi powstanie styczniowe „przegrało całkowicie". Koncepcje czerwonych rozwiązania spraw narodowościowych nie zostały tu zrealizowane, a wspólny znak Orła, Pogoni i Michała Archanioła okazał się czystą symboliką. Powstańcy polscy stanęli na tych terenach do walki o Polskę niepodległą w granicach przedrozbiorowych. Hasło to nie przemawiało do ludności rodzimej. Ogół chłopów na Białorusi i Ukrainie odniósł się do powstania „obojętnie, niechętnie lub wrogo". „Przegrana powstania nad Niemnem i Dnieprem — pisze dalej prof. Kieniewicz — przesądziła o jego przegranej nad Wisłą, stała się też katastrofą dla Polaków osiadłych na Kresach i dla ich stanu posiadania". Inny z wybitnych historyków polskich, prof. Henryk Wereszycki, stwierdził w odniesieniu do terenów wschodnich byłej Rzeczypospolitej, iż w czasie powstania styczniowego „poczucie całości tych przedrozbiorowych ziem uległo daleko posuniętej erozji [...], wówczas zrozumiano, że na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej mieszkają narody, które wkrótce ujawnią swe aspiracje do własnych państw". Powstanie styczniowe ujawniło więc początek procesu, który dla terytoriów tych miał mieć nieodwracalne już następstwa dziejowe.

Rozważania i analizy, związane z powstaniem styczniowym i wyjaśniające polski proces historyczny, rzutujące także na przyszłość sąsiednich narodów, nie mogą przesłonić pamięci o ludziach, którzy w 1863 r. nad Niemnem, Prypecią i Dnieprem chwycili za broń, aby walczyć o wolność Polski. Według prof. Wereszyckiego, autora wydanej niedawno książki pt. „Niewygasła przeszłość" (Kraków 1987), „kult dla tych, którzy walczyli o niepodległość i wolność, trwał w Polsce bez przerwy przez cały okres niewoli", a tradycja powstania styczniowego „stała się jednym z fundamentów wychowania narodowego". Za Elizą Orzeszkową powtórzmy więc i my: Gloria victis.

Wiesław Śladkowski

Rozmowa ze Zbigniewem Staweckim

Dokończenie ze str. 5

Sart, Lucjan Kaszycki, Mariusz Debich (syn Henryka), Stefan Rembowski... Wystarczy?

— Wystarczy. A powiedz, jak byś określił tematykę i rodzaj swoich piosenek? Jak byś je scharakteryzował?

— Ogólnie można by to nazwać piosenką „liryczno-dramatyczno-satyryczną". To, oczywiście, jeśli chodzi o nastrój. Natomiast w sensie gatunku jest to piosenka estradowa, aktorska i tak zwany „szlagier" określany też mianem „przeboju" lub „hitu".

— Co sądzisz o współczesnej polskiej piosence, o jej sytuacji?

— Myślę, że — wbrew różnym twierdzeniom — wcale nie przeżywa ona kryzysu. Wielkie nowe natarcie rocka przytłumiło wprawdzie na moment nurt piosenki bardziej tradycyjnej, ale po pierwszym szoku spowodowało jej odrodzenie się, choć w nieco innych formach. Natomiast, w moim przekonaniu, mamy za wiele i za często organizowanych różnych festiwali piosenki. Przez to dużo utworów powstaje „na chybcika" byle zdążyć na konkurs. W ostatecznym rozrachunku najsprawiedliwszym jurorem okazuje się przecież naturalna selekcja. Odbiorcy nie wmówi się niczego, co mu się nie będzie podobało. Nie oznacza to, oczywiście, że mam na myśli schlebianie najniższym gustom publiczności.

— Na zakończenie pytanie, które musi paść w każdym wywiadzie: nad jakimi i dla kogo piosenkami ostatnio pracujesz?

— Przede wszystkim nad piosenkami na nową płytę dla Ireny Santor. Także dla Ewy Śnieżanki i Edwarda Hulewicza. Sporo zrobiłem podczas świątecznego pobytu u mojej mamy, w Lublinie... Czekaj! Coś mi „strzeliło" w tej chwili do głowy! Taki czterowiersz o naszych dawnych lubelskich czasach. Zaraz to zanotuję. O, już jest! Taka fraszka liryczna. Dajmy jej tytuł „Wczoraj":

Lublin — naszą nadzieją zielony,
dni na przyszłość dawane — jak bony.
Kto i kiedy ten kupon nam odciął:
Czas szalony, szumiący młodością?!

— Dziękuję za rozmowę i za to „Wczoraj".

Rozmawiał: **M. D.**

Równość w zawiści

Piotr Beck

DLACZEGO indywidualna przedsiębiorczość ma nikłe, jak sądzę szanse, by zdobyć szeroki aplauz w społeczeństwie? Przedsiębiorczość bowiem wiąże się z ambicją, ambicja tymczasem, chęć zrobienia czegoś własnego i innego, chęć dotarcia tam, gdzie nikt nie dotarł, to już podejrzenie o zarozumialstwo, o poczucie wyższości, to cechy, które naród nasz postanowił tępić z godną lepszej sprawy zajadłością, a przede wszystkim zawiścią. Niech się leje wóda i płyną łapówy, niech synek dobywa siekiery na własnego papę, niech wyrodna matka wyrzuca na śmietnik niechciane potomstwo — byle tylko nikt nie zadzierał nosa.

Owe „egalitarne" ciągoty spłynęły na nas nie tylko od sarmackich przodków; także i nowe czasy dorzuciły tutaj swą niemałą cegiełkę. Najpierw była wszakże historia, rodowód bowiem zawiści wiąże się nierozerwalnie z powstaniem ludzkiej wspólnoty.

By nie cofać się do starożytności, wystarczy zauważyć, jak dobrze pamiętał o owych ciągotach choćby niegdysiejszy magnat. I gdy wodził za nos tłumy szaraczkowej gawiedzi, nigdy nie omieszkał ocukrzyć tych machinacji sakramentalnym: „Panie bracie". Przyznanie się do równości załatwiało wszystko. Znany osiemnastowieczny pamiętnikarz, Marcin Matuszewicz, zachłystujący się wielkopańską fantazją Karola Radziwiłła za najpodlejszą i najbardziej godną potępienia wadę tego okrutnika uznał fakt, iż „był to pan humoru cokolwiek wysokiego". To nic, że miał na swym sumieniu niejeden zajazd i niejedno rozszczepienie czekanem nieposłusznego sługusa, że ginęli z jego ręki przypadkowi ludzie — takimi przewinami tym wdzięczniej wpisywał się w pamięć. Tylko owa buta stawała współziomkom nagłą kością w gardle. I dawniej, i dziś wszystko mogłeś robić w Rzeczypospolitej, byleby tylko nie zaznaczył własnej odrębności. (Nie chodzi tu, rzecz jasna, o metodę á la Karol Radziwiłł.)

Różnica między poczuciem autentycznej wartości a samochwalstwem nie była u nas nigdy na dobre rozpoznana. Szczęście, że Krzysztof Kolumb nie urodził się w Polsce. Dotąd nie otrzymałbym zapewne tamtej paczki z dżinsami.

Współczesność także dostarcza dowodów że cnota nie ginie. Wrogiem publicznym numer jeden był Roman Polański, gdy zapowiadał rozgłos swoich filmów, i trener Wagner, gdy twierdził, że interesuje go tylko złoty medal, a nawet byle chudzina nauczyciel, gdy nieopatrznie przypomniał „gronu", że jego wychowanek wygrał olimpiadę. Wielcy mogą być bowiem u nas wielcy jedynie po śmierci. Gdy kto za życia zechciałby „podskoczyć", rozszczekają się kompatrioci i skrzydełka podetną. Nie bez kozery pytał więc Daniel Passent Fibaka i Olbrychskiego, jak naród reaguje na ich wysokie fruwanie. I choć ze względów dyplomatycznych odpowiedzi nie dostał, wszyscy wiemy, że była niegdyś dla pana Wojtka kondemnatka, a pan Daniel miał ponoć brylować jedynie na czwartorzędnej scenie w pięciorzędnym repertuarze, za psie, rzecz jasna, pieniądze. Kiedy tłum pod lubelską katedrą dostawał trzęsionki na widok Pendereckiego, już rozlegały się głosy, żeby poczekać, bo za lat dziesięć i tak się okaże że ta muzyka to w istocie zero. Towarzystwa Psychologiczne od dawna ostrzą sobie zęby na Marka Kotańskiego, a o Bońku się powiada, że za często mówi: „po prostu". Gdy Zbigniew Nienacki oświadczył publicznie, że jego „Skiroławki" to kanon literatury narodowej, a „Pan samochodzik" to ewenement w skali wszechświatowej, po prostu struchlałem. Czyżby świadomie dążył do trzeciego zawału?

Owo umiłowanie demokracji może i byłoby dobre, gdyby ze zdrową demokracją miało coś wspólnego. Tymczasem wystarczy postraszyć, że za dobrą pracę ci lepsi dostaną większe pieniądze, i już procent mówiących „tak" spada poniżej pięćdziesięciu. Szkopuł bowiem w tym, że owo zatroskanie o wszechpotężną równość wcale nie ze szlachetnego źródełka wypływa. Bierze się prościuśieńko z normalnej zazdrości; zazdrość zaś moc swą czerpie z rozlicznych kompleksów. A tych, z kolei, jak to w biedzie, narosło ponad miarę.

Pisał kiedyś Mostowicz w „Pamiętniku pani Hanki": „Trudno mi się oprzeć przeświadczeniu, że ta nadwrażliwość zawodowa czy kastowa jest objawem najzwyklejszego kompleksu niższości, i ogarnia mnie przerażenie, gdy muszę stwierdzić, jak powszechnym zjawiskiem jest w Polsce kompleks niższości. Zrozumiałem, że »czarnym charakterem« może być tu tylko analfabeta lub niemowlę". Pan Tadeusz opisuje sytuację z drugiego bieguna, ale paradoksalnie, w naszych czasach „białym charakterem" nie może być nikt. I choć są jeszcze obszary, w których element naturalnej promocji trzyma się zupełnie mocno, to przewrotnie — w tych właśnie dziedzinach najbardziej kipi od zawiści. A o ileż trudniej przebić się w profesjach masowych! Jakiejż ekwilibrystyki potrzeba, by ukrywać swe zdolności, by pomysły unowocześnienia ubierać wprzódy w dyplomatyczne kampanie! Puls badaczy „zadzierania nosa" bije po inkwizytorsku równomiernym rytmem. Ustanowiono nawet zgoła swoiste kategorie. Zadziera więc nosa dyrektor, gdy jest prawdziwym menadżerem, i turysta, gdy zamiast o Turcji opowiada o Madrycie; aktor, jeśli mu się uda „zalapać" do telewizji, i dziewczyna, jeśli ma nieszczęście chodzić na angielski; sąsiad, bo ma video, i murarz bo potrafi zbudować dom bez odchyłek. Zadziera już nawet nosa — twierdzą poniektórzy — Zdzisława Guca (tak naturalna i ludziom życzliwa)... I po co był jej ten nieszczęsny „Wiktor"?

Ostatnio powiadał mi znajomy, że i jego nie ominął epitet „nadętego bufona". Zdziwiłem się bardzo. Człowiek ten bowiem zawsze trzymał się równo i nad wyraz grzecznie. „Wiesz, to chyba przez to, że lubię mówić o swej pracy — dowodził zgnębiony. — Tak, to na pewno dlatego, że za dużo mówię. Snują mi się po głowie jakieś niedorzeczne plany". Poradziłem mu więc, żeby po prostu milczał w towarzystwie. Okazję stwarzała właśnie świąteczna migracja. Gdy spotkałem go wszak przypadkowo po Nowym Roku, był jeszcze bardziej zgnębiony i pełen goryczy. „Wszystko było wspaniale — zwierzał się z niechęcią — tylko, gdy już wychodziłem, jeden z gości huknął do ucha gospodyni: »Ależ nadęty bałwan z tego twojego znajomego. Może nie byliśmy godni, by z nami rozmawiać«". Nie pozostało mi nic innego, by ratować nadwątloną psychikę, jak przypomnieć mu średniowieczną włoską opowiastkę. Dopiero po jej wysłuchaniu udał się trochę raźniej do domu i znów zabrał do pracy. By także innych „zaszczutych" pokrzepić na duchu, uznałem za stosowne przypomnieć ją i tutaj.

Pewien zakonnik wraz ze sługą i klasztornym osiołkiem wyruszyli w drogę. Pora była deszczowa, a błoto głębokie. By zatem nie męczyć osła, pan i jego sługa dreptali piechotą. Mijający ich podróżni wołali wówczas ze śmiechem: „Zobaczcie, co za głupcy. Sami taplają się w błocie, a osioł idzie sobie luzem". Tedy braciszek dosiadł zwierzę, by zaraz usłyszeć: „Cóż za okrutnik z tego mnicha. Sam siedzi na ośle, a sługa musi taplać się w błocie". Wówczas i młodzieniaszek wdrapał się na osła, ale mijający ich podróżni wołali ze zgrozą: „Zobaczcie, co za dranie jadą tam na ośle. Dosiedli go we dwóch i zamęczą stworzenie". Braciszek zszedł więc na ziemię, a wtedy podróżni naśmiewali się z niego: „Cóż to za pan głupkowaty, Sam idzie po błocie, a jego sługa rozpiera się wygodnie na oślim grzbiecie".

Tak, tak, czy się stoi czy leży, każdemu się stosowny epitet należy. Ci, co mają jednak coś pożytecznego do zrobienia, niech się nie lękają. Wszak karawana zawsze jedzie dalej.

Siedzem i płaczem sercem do Ciebie

Henryk Więcławski

WEDŁUG opinii psychologa, Beata jest dziewczyną spokojną i wrażliwą. W przyszłości chciałaby zostać kierowcą. Poziom jej inteligencji mieści się w normie i w normie pozostaje jej rozwój fizyczny. Ma trzynaście lat. Urodziła się w kwietniu 1974 roku. Jej najbliższą powiernicą i przyjaciółką była, jak dotąd, starsza siostra Grażyna. Beata jest czwartym z kolei dzieckiem spośród dziesięciorga rodzeństwa (najmłodsze ma zaledwie osiem miesięcy). Z domem rodzinnym rozstała się bez żalu. Wzrastała bowiem w atmosferze izolacji od rodziców. Ojciec, pracownik fizyczny, pił i miał nawet swego czasu sprawę sądową o czyny lubieżne z córkami. Ostatnio było trochę lepiej, ale nad domem wciąż unosiła się aura skandalu.

Od dramatycznych wypadków Beata odczuwa bezustanny ból głowy i uczucie „ssania" w żołądku. Nie ujawnia nienawiści do swoich krzywdzicieli. Reaguje wstydem i żenadą. Boi się opinii społecznej, wstydzi rówieśników i kolegów szkolnych; chciałaby wyjechać zapomnieć. Z uwagi na głęboki uraz psychiczny, jakiego doznała, a także wszystkie inne okoliczności umieszczono ją czasowo w Domu Dziecka. Jej szanse na podjęcie w przyszłości funkcji matki i żony zostały poważnie nadszarpnięte: to życie złamano u samego początku.

Po odebraniu wypłaty, 6 października 1987 roku, Mirosław G., Mirosław P. i Roman P. postanowili zrobić składkę na alkohol. Wszyscy trzej pracowali w prywatnym zakładzie usługowym, przy czym Mirosław G. pobierał dodatkowo nauki w Zasadniczej Szkole Zawodowej. Po zakup wódki pojechali motocyklem „MZ" do miasta. Przywieźli trzy półlitrówki. Około 19-tej rozsiedli się na ganku mieszkania Romana P. W godzinę potem Mirosław P. odwiózł spieszącego się do domu innego uczestnika libacji. Wracając, zobaczył idącą w kierunku swojego domu Beatę. Wracała ze szkolnego wieczorku tanecznego i odwiedzin u koleżanki. Mirosław wyminął ją i szybko podjechał pod dom Romana. Wszyscy trzej wsiedli na motocykl i powrócili na drogę, po której szła dziewczyna. Znali ją. Niejednokrotnie bywali gośćmi w domu jej rodziców. Wiedzieli, że chodzi do siódmej klasy szkoły podstawowej. Zaproponowali jej podwiezienie. Beata odmówiła. Roman zsiadł z motocykla, pochwycił ją wpół i posadził między kolegów. Sam usiadł na końcu. Beata poczuła od mężczyzn alkohol, ale znając ich gwałtowne usposobienie, bała się stawiać opór. Prosiła, by ją puścili. Mirosław P. skręcił w boczną, polną drogę. Mirosław G. i Roman P. wzięli Beatę pod ręce i zaczęli prowadzić w stronę pobliskich chałupek. Na polance próbowali skłonić ją by wypiła trochę wódki z butelki, którą zabrał Roman. Odmówiła. Tego alkoholu było już niewiele, toteż Roman i Mirosław P. udali się po pełną butelkę pozostawioną na ganku, a Mirosław G. pilnował Beaty. Po upływie pół godziny wrócili. Wypili wódkę i zmusili dziewczynę do połknięcia kilku łyków. Natychmiast zwróciła wypity alkohol. Nagle Roman P. uderzył ją dwukrotnie ręką w twarz, a potem popchnął tak silnie, że upadła na plecy. Wówczas wraz z Mirosławem G. zaczęli ściągać z niej spodnie i bieliznę. Prosiła, by ją puścili. Śmiali się. Kolejno gwałcili ją. Aby uwolnić się od napastników, Beata w pewnym momencie poprosiła o kieliszek wódki. Puścili ją. Wtedy zaczęła uciekać. Dogonili ją jednak szybko. I znów się zaczęło wszystko od nowa. Około pierwszej w nocy pozwolili jej się ubrać i podwieźli pod dom. Zagrozili, że jeśli opowie rodzinie o tym, co się stało, i ich posadzą, to po wyjściu z ...ryminału zabiją ją. Beata obudziła siostrę Grażynę i zrelacjonowała jej przebieg wypadków. Kiedy Grażyna wybiegła na dwór, zobaczyła odjeżdżający motocykl. Zawiadomiła pogotowie. Beatę przewieziono do szpitala, gdzie około 4.30 została zbadana. Lekarze zawiadomili MO.

Już przy wstępnym przesłuchaniu podejrzani przyznali się do winy, choć próbowali zatajać szczegóły zajścia. Beata H. nie powróciła do domu. Po konsultacji psychologicznej umieszczono ją w Pogotowiu Opiekuńczym Milicyjnej Izby Dziecka, potem zaś przeniesiono do Domu Opieki. Zeznania Beaty są tragiczne. Tragiczne jest okrucieństwo, z jakim działali zwyrodnialcy. Jest w kodeksie karnym specjalnie surowy paragraf na taką okoliczność. Beatę czeka jeszcze ponowne przeżywanie koszmaru podczas przewodu sądowego. Znów odżyją w szczegółach wydarzenia tamtej nocy. Tymczasem ona chciałaby uciec, zapomnieć.

A sprawcy tej tragedii?

Roman P. napisał z Aresztu Śledczego w Lublinie list do swojej dziewczyny: „Kochana Dorotko. Na wstępie mego listu dla ciebie Dorotko zasyłam Ci moc gorących pocałunków i miłych spędzonych dni na kochanej wolności. te słowa zasyła ci zawsze pamiętający i Kochający cię twój Roman. Dorotko ja dziś siedzem i płaczem sercem do Ciebie. [...] Beata kurwiła się na wszystkie strony a teraz szuka warjata aby za nią siedział i cierpiał w tych ponurych ciemnych i zimnych norach. Człowiek niewinny niczego tak jak ja Roman [...] A teraz napiszę parę słów o sobie, to znaczy co tu porabiam, leżę sobie bykiem, jedzą dają dobrze aż prawdę mówiąc żal będzie stąd wychodzić ale jak puszczą to zaraz wpadne w twe piękne ramiona. Kocham Cię. Roman".

Prokurator zdecydował się włączyć ten list do akt sprawy.

Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (12)

SZEF był ze mnie zadowolony. Dostawałem premie, raz nawet moje nazwisko znalazło się w ściennej gazetce w rubryce „Nasi stachanowcy". Toteż jak grom z jasnego nieba spadły na mnie jego słowa:

— Nu sztoż, Adam Jossifowicz, skoro pridiotsa nam rasstawatsa...

— Rozstać się? Dlaczego? Czy towarzysz nie jest ze mnie zadowolony?

— Wręcz przeciwnie, ale chyba wolisz poszukać sobie zajęcia w swojej ojczyźnie?

— W swojej... Nie rozumiem...

— Tołkowyj pareń, a baszka nie rabotajet. Będą was ewakuować!

— Kiedy? Mój Boże, co za nowina!

— Kogda, nie znaju. Pojeżżaj do waszewo Sojuza Polskich Patriotów, możet oni połuczili kakije okazanija.

Zawiesiłem kłódkę na drzwiach magazynu i podmiejską ciuchcią pojechałem zasięgnąć języka. Po mym aresztowaniu nie pokazywałem się w Związku. Jak mnie przyjmą?

Prezes nie dał nic po sobie poznać, przywitał się ze mną, jak byśmy widzieli się poprzedniego dnia.

— Tak, to prawda. Jeszcze w lipcu podpisana została polsko-radziecka umowa o ewakuacji do Polski wszystkich naszych obywateli, którzy znaleźli się na ziemi radzieckiej w wyniku działań wojennych.

— W lipcu? A mamy już grudzień!

— Dopiero przed kilku dniami otrzymaliśmy oficjalne zawiadomienie. Komisja mieszana do spraw ewakuacji działa bez przerwy. Sporządzenie wykazów wymaga sporo czasu, wielu naszych zadekowało się w najdalszych zakamarkach Rosji. Mam do pana prośbę: proszę zawiadomić Polaków za Swijagą, żeby się do nas zgłosili. Chyba nie wszyscy objęci są rejestracją. I niech pan będzie z nami w stałym kontakcie!

Popłynęły dni tęsknego wyczekiwania. Czy zżerała was kiedyś nostalgia? Mnie atakowała okresami. Z początku, po ucieczce z kraju, gdy poszukiwałem tymczasowej przystani życiowej, rzadko wspominałem ojczyznę i bliskich. Kiedy moja sytuacja jako tako ustabilizowała się, często powracałem do nich myślami, ale w miarę upływu czasu obraz rodzinnego miasta rozpłynął się, oddalał. Straciłem nadzieję na powrót, zachodzące wydarzenia utwierdzały mnie coraz bardziej w tym przekonaniu. Dopiero teraz, gdy wizja ewakuacji przyoblekła się w realne kształty, owładnęła mną tęsknota. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca, snułem się z kąta w kąt, co parę dni wyskakiwałem do Ulianowska.

I oto w połowie lutego usłyszałem z ust prezesa ZPP upragnioną nowinę:

— Proszę zawiadomić wszystkich Polaków za Swijagą, żeby zgłosili się w przyszłym tygodniu po zaświadczenia repatriacyjne. Wyjeżdżamy w połowie marca.

Zabrałem się do likwidacji swoich spraw. Przy zdawaniu magazynu wynikła polka, która o mały figiel nie odwlekła na dłuższy czas mego powrotu do kraju.

Powołana przez gławbucha komisja obeszła wszystkich lokatorów raboczewo gorodka, sprawdzając, co który ma z pobranej bielizny pościelowej. I gdy dodano to do tego, co znajdowało się w magazynie, wyskoczyło potężne manko, bo mieszkańcy baraków zdążyli pozbyć się na bazarze wypożyczonych rzeczy, de facto więc ich nie było!

Gławbuch nasadził okulary na nos i oświadczył:

— Nu da. Adam Jossifowicz, nie połuczisz otpusknowo lista. Nikuda nie pojediesz. Budiesz, sudiitsa, etoż raztrata, ugołownoje dieło!

Co w przekładzie na polski oznaczało: nie tylko nie pojadę do kraju, ale czeka mnie jeszcze proces sądowy za roztrwonienie mienia państwowego!

— Nie mogę odpowiadać za to, że oni posprzedawali wypożyczoną pościel!

— A kto ma odpowiadać? Trzeba było ich pilnować.

— Jak to pilnować? Przecież przejmując magazyn od mego poprzednika, zaliczyłem na dobro to, co znajdowało się na kartach ewidencyjnych. Już wtedy mogło nie być tych rzeczy.

— Czemu nie sprawdziłeś? Pospieszyłeś się. Tak nie wolno. Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł — powiedział sentencjonalnie. — A ty tiap-liap, po waszemu lapu-capu!

„Łapu-kacapu" — pomyślałem nienawistnie, patrząc na jego szyderczo uśmiechniętą twarz, i pobiegłem szukać ratunku u... prokuratora.

Powiedziałem wszystko, jak było. Nigdy nie miałem do czynienia z taką pracą, zajęcie magazyniera przyjąłem z konieczności, przy przyjmowaniu magazynu nabrano mnie, a teraz towarzysz gławbuch nie chce mi wydać zaświadczenia, że się rozliczyłem, a bez tego nie wypuszczą mnie.

Prokurator nie zastanawiał się ani chwili. Nigdzie nie zadzwonił, z nikim się nie konsultował. Napisał odręcznie kartkę do księgowego, żeby nie robił mi trudności. Pamiętam — użył zwrotu „priedłagaju", a co po polsku znaczy „proponuję", natomiast w rosyjskim brzmieniu, w relacji prokurator — księgowy, miało specyficzny posmak — i gławbuch bez szemrania podpisał upragnioną bumażkę.

Spieniężyłem nasz ruchomy dobytek. Niewiele tego było. Za otrzymaną gotówkę, plus skromne oszczędności, kupiłem dwa worki mąki. W Polsce po tak strasznej wojnie z pewnością panuje głód. W pierwszym okresie będzie z czego piec lepioszki, aładije, bliny, starczy i na gałuszki do zupy.

Wracaliśmy składającym się z kilkudziesięciu wagonów eszelonem. Drewno na opał w dwutygodniowej podróży zdobywało się na postojach urządzanych w pobliżu lasów. Wybiegaliśmy z toporami i piłami, rąbaliśmy, co popadło. Niemal każdy miał doświadczenie z poprzednich miejsc pracy. Pewnego razu ułatwiliśmy sobie zadanie. Na placu leżały pocięte deski. Raz dwa przetransportowaliśmy je do wagonów, zadowoleni, że trafił nam się suchy opał, i to bez żmudnych zabiegów. Po kilku minutach przybiegli żołnierze i kazali z powrotem odnieść łup. Jak się okazało, był to niezwykle cenny surowiec z jakichś najszlachetniejszych gatunków drzew, przeznaczony do technicznych urządzeń, odporny na działania atmosferyczne.

W Orle zarządzono dłuższy postój. Poszliśmy na bazar uzupełnić zapasy żywności. Dwa dni wcześniej, jak mi powiedział miejscowy Polak, ulicami miasta przeciągnął pochód dzieci z miejscowego sierocińca. Niosły olbrzymi transparent z łozungiem: „Chwała Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo!". Były to dzieci rodziców straconych z rozkazu Stalina...

Wysadzono nas w Kłodzku, otrzymaliśmy poniemieckie mieszkania. Sklepy były pełne białego pieczywa! Postanowiłem więc sprzedać mąkę, ale nikt

Powrót

nie reflektował na ciemną razówkę. Ostatecznie ofiarowałem ją hodowcy nierogacizny. Więc wyszedłem na tej mące jak Zabłocki na mydle? Nie, jak Ochocki na soli w Ulianowsku (ale to osobna historia). I po kiego czorta wiozłem ją taki szmat drogi, dźwigając ciężkie wory na plecach? Droga przez mąkę.

Napisałem do „Trybuny Dolnośląskiej" reportaż o naszym powrocie do kraju. Od redaktora Tadeusza Galińskiego dowiedziałem się, że w Łodzi wznowiono wydawanie „Expressu", a po paru dniach, że z moich najbliższych ocalała tylko siostra i brat...

Pojechałem na rekonesans do rodzinnego miasta. Konstanty Bogusławski, naczelny łódzkiej popołudniówki, dawny sekretarz redakcji „Republiki", zaangażował mnie z miejsca. Czasowo zamieszkałem u brata, wywojowałem pokój przy ul. Wólczańskiej, sprowadziłem żonę i córkę — i po sześcioipółletniej przerwie rozpocząłem intensywną pracę w „Expressie".

Przeżycia w okresie wojennej tułaczki zostawiły trwały ślad. Niemal co noc śnił mi się obóz. I jak to bywa w snach, w dramatyczniejszych, niż w rzeczywistości, okolicznościach. Brat, któremu zwierzyłem się z nocnych koszmarów, zażartował:

— I co się w twoim życiu zmieniło? W dzień musisz pracować, a w nocy siedzisz w obozie.

...Ale rano budziłem się w opalonym pokoju, na wygodnym tapczanie, myłem się w łazience ciepłą wodą, bawiłem się z córeczką, zasiadałem do obfitego śniadania, a w pracy, zamiast piły czy siekiery, brałem pióro, którym teraz wykreśliłem z mego życiorysu białą plamę sprzed pół wieku...

Posłowie

Jakie były dalsze losy trzech osób, które odegrały znaczącą rolę w moich dramatycznych przeżyciach ulianowskich?

Helena Korab wróciła do kraju. Pracowała kilka lat w którymś z ministerstw, zmarła na początku lat pięćdziesiątych. Ponieważ nie może się bronić, nie podaję jej prawdziwego nazwiska.

Alojzy odsiedział wyrok do końca. Po powrocie osiadł we Wrocławiu, zajął się praktyką adwokacką. Zdobył mój adres, prosił o skontaktowanie się z nim. W r. 1952, w drodze do NRD, wstąpiłem do niego. Wkrótce potem wyemigrował z Polski; gdzie obecnie przebywa — nie wiem.

O Zygmuncie Sz. wszelki słuch zaginął. Powrócił do Polski czy może został w Kraju Rad? Jeśli jesteś w Polsce i natkniesz się na ten pamiętnik, odezwij się. Przebaczam ci.

Co mi się jeszcze przypomniało

Sympatyczny komandir z Kijowa, dokwaterowany do mieszkania Melmanów we Lwowie, miał lekkiego hopsa na punkcie kobiet.

— Adam, najdi kakuju nibud' baryszniu. Ja priamo umiraju! — zamęczał mnie. (Znajdź jakąś dziewczynę, ja po prostu umieram!).

Wpadłem na szatański pomysł. Zegarynka! Na początku lat trzydziestych w Łodzi i w innych miastach wojewódzkich zainstalowano takie urządzenie. Panna Haeggberg, córka dyrektora szwajcarskiego koncernu telefonicznego, nauczyła się naszego języka i nagranym na płytę wdzięcznym głosikiem podawała dokładny czas. To ja cię, Casanovo dla ubogich, zaraz z nią połączę, umówcie się i róbcie, co chcecie!

— Znam jedną, nawet bardzo ładna, zgrabna, eyc-wot! — wyciągnąłem ręce o pół metra do przodu, a oczy komandira rozbłysły niezdrowym blaskiem. — Ale ona sumaszedszaja, wariatka. Jak ktoś do niej dzwoni, żeby się umówić na randkę, w kółko, bez przerwy, powtarza, która godzina...

— Nie biespokojsa, Adam, so mnoj budiet goworit', kak polagajesta. No dzwoń! (Nic się nie martw, ze mną będzie rozmawiać, jak się należy).

Wykręciłem numer zegarynki.

— Dzień dobry, pani Kaziu! To ja. Jakiś zrałdanin chce z panią porozmawiać...

— Skaži, szto iz Kijewa — podpowiedział, dygocąc ze zniecierpliwienia komandir.

— On przyjechał z Kijowa, mówi po polsku... Tak zaraz go poproszę.

Komandir wyrwał mi słuchawkę z rąk, dmuchnął w sitko mikrofonu.

— Allo! Zdrastwujtie, pani Kazimira. Oczen' prijatno poznakomitsa. Co? Osiemnasta pięć? Bardzo dziękuje. Spasibo. Co? Osiemnasta pięć? Wy uże skazali, ja choczu usłowitsa z wami, randka, tancy. No ile razy można mówić, która godzina?

Jeszcze kilka chwil usiłował porozumieć się z „panną Kazią", wreszcie wściekły, zawiedziony, cisnął słuchawkę na widełki.

— Dura! Prawdziwa głupia! Tfu!

Nazajutrz była heca. Ktoś mu powiedział, z kim „rozmawiał". Obrugał mnie, ile wlezie, potem roześmiał się.

— Mołodiec! Nabrałeś mnie, no i na zdrowie. A jakiejś prawdziwej panny Kazi nie znasz?

* * *

W osławionym pasażu Mikolascha we Lwowie pojawił się stary Ukrainiec z dwiema kobiałkami jaj. Miał na sobie wpuszczone do butów spodnie i długą, ozdobioną haftem, wykładaną rubaszkę. Dwaj kręcący się już dłuższą chwilę bez celu młodzi ludzie poszeptali ze sobą i podeszli do niego.

— Sprzedajecie jaja, dziadku?

— Prodaju.

— A ile tego jest? Weźmiemy wszystkie hurtem. Uzgodniono cenę, tylko jak policzyć towar? Reflektanci nie mieli torby, ani koszyka, na ziemię jaj kłaść nie można, jeszcze się potłuką.

— Wyciągnijcie przed siebie poły koszuli, będziemy tu odkładać policzone sztuki — zaproponowali młodzieńcy.

No i zaczęło się liczenie. Ukrainiec, trzymając kurczowo zadartą rubachę, pilnie baczył, żeby kupujący go nie oszukali. A gdy ostatnia para jaj spoczęła na koszuli, bałiar błyskawicznie schylił się i spuścił dziadkowi spodnie, jego towarzysz uczynił to samo z gaciami.

— Pany... pany... szczo wy robyte? — szczękał zębami unieruchomiony Ukrainiec. Nie puści przecież koszuli, w której leży jego skarb, ponad dwa mendle jaj!

Gawiedź rechotała, czyniąc głośne uwagi na temat obnażonych wdzięków staruszka.

— Pany... pomyłujte...

Jego błagania nie robiły żadnego wrażenia na prześladowcach.

— Żeby ci nie było smutno, dziadku zaśpiewamy coś! — i wziąwszy się pod ręce zaintonowali na dwa głosy:

Usił tato na łopatu, mama na kociubu,
tato hajta, mama wiśta, jichały do ślubu
Prijechały na wesiłe, ne chodyły piszki,
tato mami dał kołbasu, mama chocze kiszki!

* * *

Znajomy, któremu opowiedziałem o warunkach pracy w obozie rybińskim, chwycił się za głowę.

— Człowieku, to wyście siedzieli w sanatorium! Myśmy dostawali po trzysta gramów chleba za całodzienną pracę w kopalni!

To prawda, tak było. Ale znajomy został aresztowany po zakończeniu wojny za przynależność do AK i, mimo iż walczył z hitlerowskim okupantem z bronią w ręku, przelewał krew, skazano go na piętnaście lat, zesłano pod koło podbiegunowe do Workuty, skąd wrócił w r. 1956 po dziesięcioletniej odsiadce. Taki los spotkał wielu Polaków. Nas potraktowano ulgowo, chyba nie wiedziano, pod jaki paragraf podciągnąć „nielegalne" przekroczenie granicy i stąd te „cieplarniane" warunki w obozie rybińskim.

* * *

W przeddzień wyjścia na wolność z obozu w Rybińsku komendant wezwał mnie do siebie.

— Pororab dużo dobrego powiedział o tobie. Zostań z nami jako wolnonajomnyj. Dostaniesz urządzoną kwartirę, niklirowannuju krowat', miesiacznyj oklad, choroszyje pitanije i tufli na rezinowym chodu... (pensję co miesiąc, dobre jedzenie i pantofle na gumowej podeszwie).

— Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Chcę być razem z moimi towarzyszami. A w Polsce też

miałem własne mieszkanie, trzy pokoje, szafę pełną ubrań, kilka par pantofli na skórzanej podeszwie, a zamiast na niklowanym łóżku, spałem na wygodnym tapczanie! — oświadczyłem z nie ukrywaną satysfakcją.

Twarz komendanta zasępiła się.

— Opiat, naczinajesz. Wychwalasz życie w sanacyjnej Polsce? Mało ci było?!

Spokorniałem, swą decyzję opuszczenia obozu skwapliwie poparłem innymi argumentami. Wojna niebawem się skończy, armia radziecka odniesie walne zwycięstwo, wrócę do swojej ojczyzny, do rodziny, do swego zawodu.

— Twoja sprawa. Nu, proszczaj, bud' zdorow, rosti bolszoj!

* * *

Po rejteradzie Andersa, na kilka dni przed likwidacją naszej placówki w Stalinabadzie, przystąpiono do rozdzielnictwa remanentów magazynowych. Zgłosiłem się wraz z innymi, poprosiłem o coś z odzieży dla mnie i żony.

— Pan dostanie, żona nic nie otrzyma.

— Dlaczego?

— Bo ona ma paszport radziecki, a dary zagraniczne są przeznaczone wyłącznie dla obywateli polskich.

— Żona całe życie mieszkała w Polsce, jak ja była obywatelką polską, paszport radziecki przyjęła w warunkach przymusowych...

— To nie ma znaczenia.

Sięgnąłem po argument najcięższego kalibru.

— Żona jest w ciąży. Ze mną, polskim obywatelem!

— Niestety, na płód nic nie możemy wydać. — Nie pamiętam od kogo usłyszałem te znamienne słowa. Z ust samego szefa naszej likwidującej się placówki czy jego zastępcy...

* * *

Jeden z naszych, rolnik z dziada pradziada, pracujący w Chanaka w Zagotzierno, wybrał się do kołchozu, leżącego w połowie drogi do Stalinabadu. Pociąg uciekł mu sprzed nosa, postanowił zatem ruszyć per pedes apostolorum. W tym samym kierunku zmierzał miejscowy kołchoźnik. Rozmowa jakoś nie kleiła się. Ale jak długo można kroczyć obok siebie, nie odzywając się ani słowem? Nawet krowa odczuwa od czasu do czasu potrzebę wydobycia głosu i zaryczy do swych towarzyszek.

Właśnie z przeciwka podążał pastuch, prowadząc kołchozową krowę.

— A u was, w Polsze, byli sobstwiennyje (własne) korowy? — rozwiązał się język kołchoźnikowi.

— Byli, byli. Ja sam do wojny miałem własną krowę! — skwapliwie podjął rozmowę nasz chłopina.

— Ile mleka dawała twoja krowa?

— Do piętnastu litrów dziennie — oznajmił z dumą były gospodarz.

Kołchoźnik już o nic więcej nie pytał. Milczał całą drogę, mimo prób jego towarzysza podjęcia przerwanej konwersacji. Krowy w Tadżykistanie, zdane na wypaloną słońcem trawę, dawały gęstsze i tłuściejsze mleko niż nasze krasule, ale zaledwie po kilka litrów. A naszemu chłopinie dano trzy lata za „ochalwanije żyzni w Sowietskom Sojuzie" (za ośmieszanie życia w Związku Radzieckim.

Po utworzeniu Związku Patriotów Polskich Wojenkomat w Chanaka znowu ogłosił zaciąg, tym razem ochotniczy do naszej I Dywizji formującej się w Sielcach nad Oką. Otrzymaną instrukcję mylnie zinterpretowano: zawiadomiono nas, że zaciąg dotyczy Polaków, nie wspomniano nic o obywatelach polskich żydowskiego pochodzenia — i w związku z tym kazano nam opowiedzieć się, do jakiej nacji kto należy.

Na tym tle rodziły się różne spekulacje, w zależności od warunków rodzinnych, planów na przyszłość, poczucia obywatelskiego, patriotyzmu. Jedni chcieli walczyć ze wspólnym wrogiem, tych było najwięcej, innym zależało jedynie na przeniesieniu się z Azji do Europy, byli i tacy, co woleli zostać na miejscu. Dochodziło do kapitalnych sytuacji, które członek komisji wojskowej w Chanaka tak skomentował:

— Niczewo nie ponimaju! Szlama Rozenkranc — Poliak, Jan Kiejstut Kulewicki — Jewriej! Sam czort nie rozbieriot, w czom dieło!

* * *

Do celi więziennej w Uljanowsku, gdzie mnie ulokowano po rozprawie sądowej, przyprowadzono znajomego chłopaka z nowostrojki na Zawołżu. Często go widywałem przy najcięższych robotach. I jego też wsadzili, tego nierozgarniętego, głupkowato uśmiechającego się pacana, który do trzech nie umie zliczyć? — zdziwiłem się.

— A ty za co?

— Nie znaju.

— Jak to nie wiesz? Przecież stawałeś przed sądem!

— Da, no niczewo nie znaju...

— Ile ci wlepili?

— Tri goda.

— Ale za co?

Rozłożył ręce.

Słowo po słowie wyciągnąłem z niego, co robił w przeddzień aresztowania.

— Usłowiłsa s diewuszkoj...

— No i co?

— Wieczorem przed wyjściem z baraku goliłem się. Nagle zgasło światło...

— No i co?!

— Togda ja skazał: „Czort pobieri takuju elektrostanciju". Na sliedujuszczij dien' powieli mienia. (Powiedziałem, do czorta z taką elektrownią i nazajutrz zabrali mnie...).

Wszystko jasne: wpadł przez ciemność!

Na tym kończymy druk fragmentów wspomnień Adama Ochockiego. Całość ukaże się, być może już w tym roku, pod tytułem: „RAZ, DWA, WZIALI".

Krzyżówka nr 2 z szyfrem

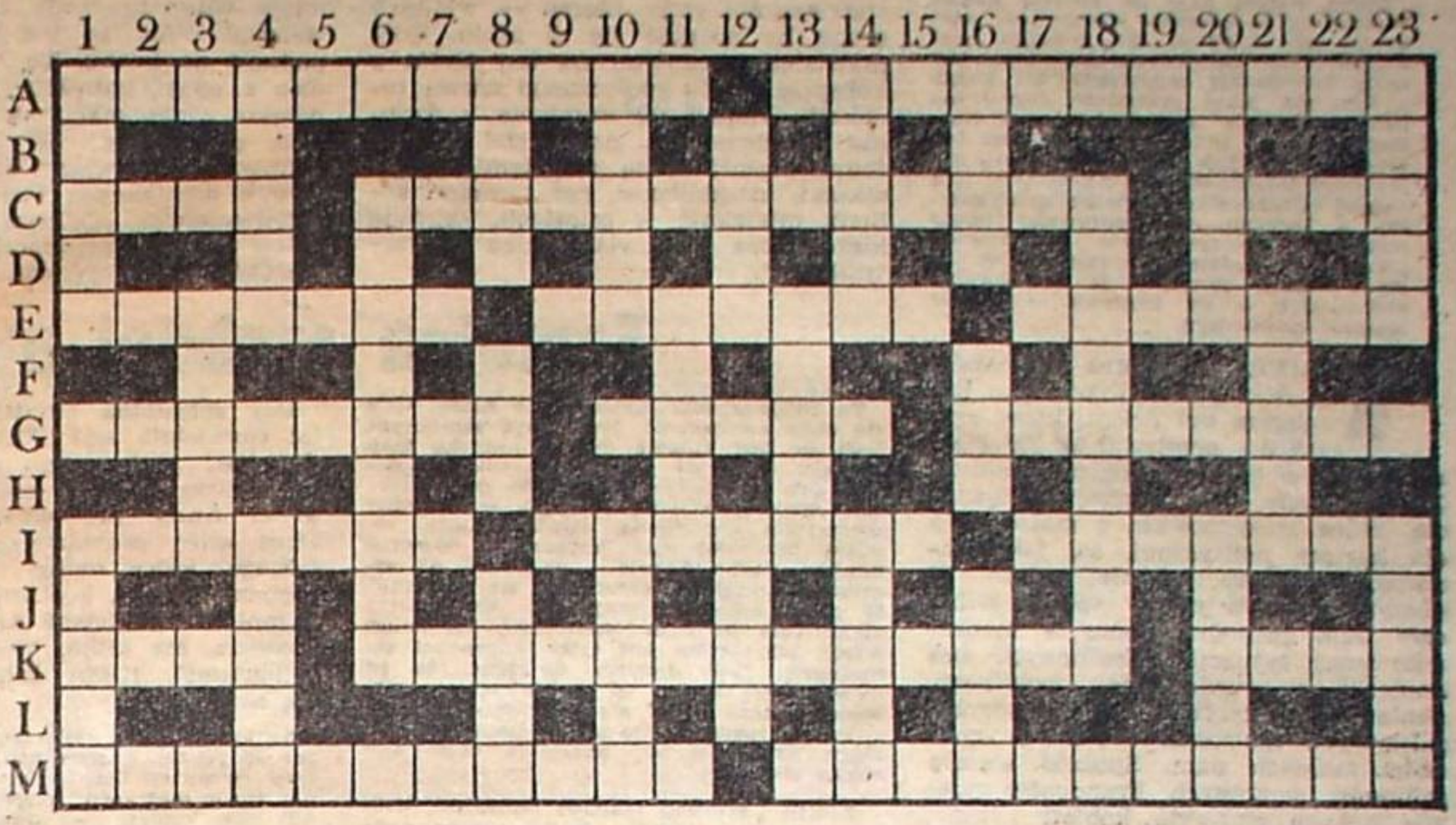

Poziomo: A. wytłoczony pogląd na coś ■ wytwórnia drukarskich klisz, C. samochód radziecki ■ sprzeciw ulegania normom obowiązującym w danej grupie ■ zgromadzenie przypadkowych ludzi, E. kara ciężkich robót na zesłaniu ■ brązowy owoc w kolczastej pokrywie ■ dawny zakład hutniczy z dymarką, G. składa się z plutonów ■ moskiewskie wzgórze zamkowe ■ odstępca religijny, I. cząsteczka ■ ciągnik ■ pływa dzięki wiatrowi, K. kreślarski atrament ■ kierunek w sztuce w 30-tych latach XX wieku posługujący się brutalnym kontrastem ■ opłata za przejazd przez rogatki, M. mieszanina ■ nicnierobienie.

Pionowo: 1. pobiera prąd dla silnika tramwaju ■ jeden ze zmysłów, 3. szybkość, 4. muza pieśni miłosnej ■ miasto nad Odrą, 6. dostosowywanie przepisów do potrzeb, 8. siostra Zygmunta Augusta ■ dużo drzew ■ rodzina władców i mecenasów sztuki we Włoszech, 10. cerkiewny obraz ■ przewód gazu, 11. pewna liczba pokrewnych rzeczy następujących po sobie, 12. znany z Artemizjonu ■ zbiornik śmieci, 13. główna myśl dzieła, 14. duży instrument szarpany ■ miasto wojewódzkie, 16. zielone przybranie ■ słowiański monarcha ■ w kącie pokoju, 18. na wybrzeżu Azji Mniejszej jeden z cudów świata, 20. określenie powierzchni wodnej ■ płytka zatoka Morza Czarnego otoczona mierzeją, 21. na trasie z Warszawy do Gdańska lub Olsztyna, 23. działanie ■ wybuch gniewu.

Szyfr

B8. E4. K10. G3. G16. F8. E20. C7. L23. M23/K13. B12. G19. I13/G14. F6. I6. K23. K3. E9. K14. M16. K17. E1. C16. C22. K20/G6. I7. C3/J12. E13. C23. A14. F21. E23. C8. A22. D1/H6. M3. G18. I22. C18. G5. I20. M19. A6. M22. E22. H11//

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI ŚWIĄTECZNEJ

Poziomo: standaryzacja, saldo, konto, trocina, Rogalin, danie, madrygał, awers, dziedziczenie, defekt, nożyce, Łazuki, pawie, renta, eskarbo, Stadnicki, zarodnia, Radom, nukat, manometr, infanci, odsetki, Kiekrz, skrom, nektar, emeryt, korner, rehabilitacja, Pszów, akademia, bagno, prządka, przypis, Tryby, smrek, transformator.

Pionowo: doberman, ekstrema, Irak, sport, dwór, akwedukt, Ebro, import, rabatka, arkan, zawód, gryps, ekran, niesmak, kopyto, reja, sentymentalizm, złom, etery, auto, pręt, certyfikaty, Dali, transfer, gmerk, rokada, Eibisch, Ałdan, zenon, Korab, fraza, choreje, atomal, kler, certyfikat, skat, sadze, cent, odbierak, Iranista.

Szyfr

W domu dolary nie procentują.

Spośród 254 prawidłowych rozwiązań cztery nagrody (ufundowane przez PKO SA) po 3 tys. złotych wylosowali (szczęśliwą rękę miała p. Joanna Szewczyk z PKO SA): Andrzej Kucharczyk, ul. Kaliningradzka 79/44, 10-437 Olsztyn; Marek Krawczuk, ul. Zabia 16, 22-100 Chełm; Włodzimierz Przesławski, ul. Romantyczna 8/6, 20-533 Lublin; Jerzy Krzyszycha, ul. Żelazowej Woli 12/7, 20-854 Lublin.

Nagrody prześlemy pocztą.

Listy do KAMENY

„WSTYD?"

Nie można potępiać wszystkiego i wszystkich, jak to czyni p. P. W., autor artykułu „Wstyd" w polonijnym „Głosie Polskim (15/87), którego fragmenty, z obszernym komentarzem, zacytowała „Kamena" (21/87). Sprawę Polonii i jej przywiązania do mowy i kultury narodowej, oczywiście na obczyźnie, trzeba rozpatrywać w kontekście miejsca i czasu, w którym żyły pokolenia Polaków w Niemczech.

To, co pisze p. P. W., jest w znacznej mierze zgodne z obecną rzeczywistością, która wyrosła z przeszłości Polaka na obczyźnie, szczególnie tej, gdzie spełniał on tylko rolę siły roboczej i gdzie gdmawiano mu zdolności do pracy wymagającej nie tylko siły mięśni.

Polacy, czasem nieświadomie, doprowadzali do antagonizmów w pracy, aby wykazać swą dzielność. W kopalniach rozpoczęli wydobywać więcej wózków węgla, niż ich kumple — Niemcy (XVIII—XIX w.). Wyszydzani i porównywani do maszyny, chcieli udowodnić, że nie są gorsi od tubylców, a nawet lepsi od nich.

To dążenie pokoleń górników, hutników oraz innych generacji stało się bodźcem do naśladowania Niemców: w pracy, życiu codziennym i poza nim. I tak powstawał nowy typ Polaka, który chciał, chociażby na zewnątrz, zamaskować się, ukryć swe pochodzenie. Do tego służyły jeszcze inne środki częściowej utraty polskości i polityka kraju, w którym do II wojny światowej żyło 2,5 mln Polaków.

Pod względem kulturalnym potomkowie Polonusów, córki i synowie oraz ich dzieci, nie wydobyli się do dziś z kręgu narzuconego im zawodu. Bardzo mała liczba Polaków osiągnęła awans społeczny. Z tego można wyciągnąć wniosek, że zainteresowania kulturalne starej Polonii zestarzały się wraz z nią i nie może ona dotrzymać kroku nowoczesności. To jednak absolutnie nie oznacza, że wśród Polonii nie ma ludzi ideowych, uczciwych, skromnych, nie pozujących na „bohaterów".

Ale starej Polonii, nie mającej żadnych wymagań i znużonej długoletnim słuchaniem „starej płyty" nie potrzeba ludzi posiadających inicjatywę i umiejętności, organizujących prawdziwą pracę oświatowo-kulturalną. Jej potrzeba mitów: „wnuczka króla polskiego" z dzielnicy x w mieście B., znakomita i wiekowa działaczka ruchu kobiecego — zabytek, prezesi, którzy prócz przemówień i wezwań nic nie potrafią robić [...] figuranci, ozdoby (jak im się zdaje) naszej Polonii są niezastąpieni, chociaż ich postępowanie prowadzi jeśli nie do upadku idei polskości, to do szkód, które trudno będzie naprawić. Nowych ludzi, nie urodzonych na obczyźnie, nie chcą dopuścić, bo obawiają się konkurencji i są pełni nieufności.

Taki stan musi ulec zmianie, jeśli naprawdę komuś chodzi o oświatę i kulturę polską na obczyźnie. Jeśli mamy marnych prezesów i pseudodziałaczy, to jest to naszą winą, bo sami dokonaliśmy takiego wyboru. Ale przecież możemy ich odwołać.

Jan Fajgner
(Bochum, RFN)

Od redakcji: Autor korespondencji jest wieloletnim publicystą prasy polonijnej w RFN.

RODZINNA INTEGRACJA

Trudno nie podsłuchać u nas rozmowy prowadzonej z telefonicznej budki. Nie wiem bowiem, czy istnieje choćby jedna w mieście, w której domykałyby się drzwi, czy zachowały szyby. Raz nawet widziałem taki cud na LSM-ie, lecz, niestety, z bliska okazał się też niewypałem. Słuchanie rozmów bliźnich jest, jak wiadomo, zajęciem zastrzeżonym acz wielce pouczającym. W konkretnym przypadku stałem się mimowolnym świadkiem powstawania nowej jakości stosunków rodzinnych. Kiedy moja przedmówczyni wypytała już szczegółowo o rozlicznych krewnych, przekazała stosowne pozdrowienia i podniosła odpowiednio temperaturę powinowactwa, poprosiła, niby od niechcenia, o kontakt z ciocią Ewą. Owa najdroższa ciocia, jak wywnioskowałem, była na stałe zatrudniona w charakterze kolejkowej pomocy. Po licznych ochach i achach na okoliczność długiego niewidzenia, ustalono, że kolejka dla dwóch osób zostanie zarezerwowana na godzinę jedenastą. (Kiedy już szef nie tak gorliwie zagląda do pokoju). Ciekaw jestem, czy takiej cioci też się coś „odpala" czy też funkcjonuje tu zasada przysługa za przysługę. A tak bardzo się martwił ostatnio jeden z publicystów, że znikają z naszego horyzontu niektóre zawody. Głowa do góry! Nic w przyrodzie nie ginie. Powstają przecież nowe. Z drugiej strony to miło, że rodziny znów się integrują. Ogromna zdolność adaptacyjna do nowych warunków to nasza narodowo-rodzinna specjalność. Zaraz w to wierzyłem.

B.

Tylko dla kobiet

Coraz więcej żyje na świecie kobiet samotnych w różnych kategoriach wieku — od 25 do 45 lat, ładnych, wykształconych, aktywnych zawodowo. Czy może odstraszają mężczyzn? Ale każda z nich ma jakąś przeszłość, często ma dzieci; niekiedy marzy jak midinetka. Może więc są to ofiary wojny płci lub pionierki nowych czasów? Próbuje to wyjaśnić Alain Schifres na łamach „Le Nouvel Observateur" (tekst publikujemy w skrócie). Jeśli poruszony temat wzbudzi zainteresowanie czytelniczek „Kameny", będziemy wdzięczni za listy. Gotowi jesteśmy je publikować, zachowując — na życzenie — anonimowość nadawczyń.

Samotna szybciej awansuje, ale...

KOBIETA samotna narodziła się dość późno. Pierwszym kawalerem był Adam, który zresztą nie przetrwał w kawalerskim stanie dłużej niż pięć minut. Joanna d'Arc była pierwszą niewiastą, która zrezygnowała z małżeństwa dla kariery politycznej, co, jak wiadomo, na dobre jej nie wyszło. W naszych czasach mamy wokół siebie cały tłum gospodyń domu w nieuregulowanej sytuacji, zakochanych bez papierka z urzędu stanu cywilnego, panien ni „starych", ni „młodych", fałszywych małżonek i pełnych godności młodych dam. Spośród sześciu milionów samotnych Francuzów prawie połowę stanowią kobiety.

Co oznacza pojęcie „kobieta samotna"? Jest to określenie dość nieprzyjemnie brzmiące, a także bardzo dwuznaczne. Poza wdowami obejmuje ono rozwódki i rozwodzące się, „jedyne żywicielki rodzin" (urocza nazwa), „częściowe współmałżonki" (jeszcze śliczniejsze określenie), wreszcie po prostu kobiety stanu wolnego. Jeśli przyjrzeć się temu z bliska, cały ten światek zaludniony jest osobami samotnymi żyjącymi w konkubinacie i małżonkami, którzy faktycznie nimi nie są. Poza tym, jeśli idzie o kategorię ludzi młodych i aktywnych zawodowo, kawalerowie są tak samo liczni jak panny. Ale, po pierwsze, dlaczego wyszukuje się tylko samotne kobiety i ich sytuację się analizuje? Po drugie, dlaczego ludzie żyjący ze sobą nie decydują się w końcu zamieszkać razem, co w pewnym sensie rozwiązałoby sprawę? Po trzecie, wiele samotnych osób obu płci nie ma — statystycznie rzecz biorąc — wielkich szans, by spotkać się w życiu. Rozmawiałem niedawno na ten temat z kolegą z działu społecznego naszej redakcji. „Mamy do czynienia z dwiema kategoriami — powiedział — bezżenni mężczyźni są rolnikami, robotnikami, urzędnikami, zaś samotne kobiety mieszkają w miastach, zajmują kierownicze stanowiska albo są artystkami".

Te panie często nieźle sobie radzą. Gdy się chce awansować, lepiej być samotnym, jeśli się jest kobietą, lub w związku małżeńskim, jeśli się jest mężczyzną. Dlaczego? „To proste — odpowiada pan Savafort, socjolog z baru na rogu. — Samotny mężczyzna chodzi na dziwki i pije, zamiast pracować nad bilansami. Samotna kobieta ciężko haruje i uczęszcza na seminaria, zamiast zajmować się dziećmi". 20 proc. kobiet zajmujących kierownicze stanowiska mieszka samotnie, natomiast wśród inżynierów jest tylko 1 procent samotnych. Jeśli dodamy do tego, że po ukończeniu 35 lat na każde cztery niezamężne trzy nigdy nie wychodzą za mąż, a liczba rozwodów wzrosła dwukrotnie w ciągu dziesięciu lat, będziemy mieli zjawisko społeczne.

Znam kobiety bardzo samotne, które żyją tak, jakby były nieustannie otoczone. „Całe życie staram się zabezpieczyć przed mężczyznami — mówi 36-letnia Leonie. — Nikomu nie daję klucza od mieszkania". „Nasz problem — mówi z kolei Zoe, pracownica telewizji, rozwódka z jednym dzieckiem — polega na tym, że właściwie jesteśmy mężczyznami. Potrzebna by nam była dobra żona, która gotowałaby obiady, naprawiałaby psujące się ogrzewanie i zajmowałaby się dziećmi, które rozrabiają".

Przed 15 laty dziewczyny były podobne do chłopców, chłopcy do dziewcząt, a wszystko razem przypominało worki z kartoflami. Grupa i seks zastąpiły małżeństwa i seks.

Flodie, 30-letnia agentka reklamowa twierdzi, że obecnie brak jeszcze dawnych dobrych wtórnych cech seksualnych, które charakteryzowały nasze babki. „Mam dwie koleżanki w wieku 30 lat, które, podobnie jak ja, miały różne przygody z facetami 45-letnimi. Ale to już właściwie nie podnosi na duchu. To są odrębni ludzie z epoki uniseksu. Z facetami w naszym wieku mamy stosunki koleżeńskie, partnerskie. W stosunkach ze starszymi odkrywamy, że należymy do innych odmiennych światów i to już nieodwołalnie. Odkrywamy też, że potrzebujemy pożądania ze strony mężczyzn, aby być całkowicie sobą".

Czy seksualna emulsja z ostatnich lat rozwadnia się? „Chcę mieć prawdziwego mężczyznę, aby stworzyć prawdziwą parę i mieć dzieciaki — mówi Anna, pracownica poczty. — Chcę mieć prawdziwego mężczyznę, takiego, który byłby wszystkim — mężem, bratem, kochankiem, tatusiem, kumplem". Ponieważ Anna takiego nie znalazła, ma kilku, którzy „dzielą się zadaniami". Kilku chłopaków składa się na jednego.

Reklama głosi, że mężczyzna to ktoś bardzo rzadki. „Znam kobiety, które wszystko porzuciły dla mężczyzny, ale prawie nie znam mężczyzn, którzy to samo uczynili dla kobiety — mówi 37-letnia Lea. — Któregoś dnia słyszałam, jak pewien facet mówił o kochance: »Kocham ją, ale gwiżdżę na nią«. Mężczyźni mnie niepokoją. Nie zgłębiają sedna sprawy. Spostrzegłam, że potrzebuję mieć dwóch mężczyzn, aby tworzyli jednego. Oni doprowadzili mnie do poligamii".

Ponieważ nie można mieć wszystkiego razem, trzeba się zadowalać takimi, którzy są zdolni do wielkich uczuć, i takimi, którzy umieją naprawić piecyk w łazience. Zdarza się, że ci dzielni chłopcy nie znają się między sobą. Jest to koleżeństwo ukryte jak cudzołóstwo. Jeden służy za partnera na korcie tenisowym i wysłuchuje zwierzeń, drugi zajmuje się załatwianiem spraw urzędowych, trzeci wykonuje duże naprawy.

Koledzy to sprawa ważna. Nie ma to nic wspólnego z wesołą paczką kolażanek, które zaśmiewają się na cały głos w lokalach. Te ostatnie to przeważnie starsze samotne kobiety, które przepadają za klubami drugiego wieku i temu podobnymi instytucjami. Wspomniana już Leonie nie znosi „babskich pogawędek".

Mężczyzna zonaty to, wedle opinii tych, które miały z nim kontakty, człowiek lękliwy i podstępny. „Kiedy się do nich dzwoni wieczorem, nazywają swoją rozmówczynię »Raymond«. Są nieosiągalni w czasie weekendu, zupełnie jak mężowie stanu. Wtedy oproponują nam, abyśmy sobie znalazły jakąś koleżankę dla zabicia czasu". To są ochotnicy, którzy zaciągnęli się do wojska i boją się wrócić do życia cywilnego. Czasem jednak im się to zdarza, w dzisiejszych czasach wszyscy byli, są lub będą ludźmi stanu wolnego. Ale jeśli się rozwodzą, to po to, aby przerzucić się na dwudziestolatki.

Dziecko... Dla wielu jest to przedmiot gorących pragnień. „Teraz, albo nigdy" — mówi Lea. Ale większość chce mieć dziecko w związku z mężczyzną. Ostatnio wszakże wydaje się, że posiadanie dziecka solo, niemówienie o tym sprawcy, jest coraz bardziej modne.

Do czterdziestego roku życia samotnych kobiet jest we Francji proporcjonalnie mniej niż samotnych mężczyzn. Wychodzą one za mąż raczej za mężczyzn starszych aniżeli za rówieśników. Po czterdziestce sytuacja jest odwrotna.

Kobiety z dyplomami mają większe szanse na urządzenie się w życiu bez męża — wśród kobiet na kierowniczych stanowiskach jest 15 procent samotnych, podczas gdy wśród mężczyzn na tychże stanowiskach samotnych jest tylko 6 procent.

Paryż jest bezsprzecznie stolicą celibatu. W skali krajowej co piąta 30-letnia Francuzka jest samotna — w Paryżu co trzecia. Ponadto 40 procent zamieszkałych w Paryżu par stanowią ludzie wolnego stanu (z obu stron).

Horoskop Stelli

Dobrej zabawy!

20 kwietnia — 20 maja

ON: Masz o sobie zbyt wysokie mniemanie, uważasz, że cokolwiek robisz, to robisz dobrze ale, niestety, tej optymistycznej opinii inni nie podzielają, stąd drobniejsze i poważniejsze nieporozumienia zarówno w pracy jak i w domu. Nie zmienisz się, więc wszelkie uwagi i tak do ciebie nie trafią.

Lubisz towarzystwo kobiet znacznie młodszych od siebie ale nie angażujesz się zbytnio uczuciowo. Złamałeś już niejedno serce, ale uważaj — w tym roku możesz mieć kłopoty: tak się zaplączesz, że cała twa „dyplomacja" tym razem nie na wiele ci się przyda. Uważaj więc szczególnie na jakiekolwiek nowe znajomości!

Szczęśliwe liczby i dni miesiąca to 7, 18 i 26 (pod warunkiem że nie wypadają w poniedziałki!).

ONA: Należysz do tych kobiet, które same wybierają sobie partnerów. Kochasz dość egoistycznie: więcej chcesz brać niż dawać. Dopóki druga strona się nie zorientuje, wszystko jest w porządku, kiedy jednak przejrzy na oczy, wówczas rozpoczyna się gehenna, a ty nie zdajesz sobie sprawy, że to przede wszystkim twoja wina! W małżeństwie też twój egoizm zbytnio nie popłaca, zwłaszcza gdy dzieci dorośleją. Ten rok nie będzie dla ciebie ani gorszy ani lepszy, choć pewna propozycja, którą otrzymasz w połowie roku, warta będzie głębszego przemyślenia.

W pracy też bez specjalnych rewelacji. Możesz mieć przykrości z powodu pewnych zaniedbań. Będzie dobrze, gdy skończy się tylko na upomnieniu.

Szczęśliwszy (ale nie szczęśliwy!) miesiąc — maj.

Uczestnicząc w grach liczbowych stawiaj na te od 1 do 6 i od 37 do 45.

21 maja — 21 czerwca

ON Zupełnie nie rozumiesz kobiet, dość bezwzględnie starasz się sobie podporządkować. Jeśli udawało to ci się w przeszłości, to nie znaczy, że tak będzie zawsze, zwłaszcza, że lata lecą a ty niewiele się nauczyłeś.

Stanowczo zbyt mało czasu poświęcasz na samokształcenie. Twoja wiedza już się dezaktualizuje. Młodsi współpracownicy wprawdzie zachowują wobec ciebie dużo taktu, ale — gdy cię bliżej poznają — może to ulec zmianie. Przy nadużywaniu alkoholu tracisz panowanie nad sobą, a ludzie są przecież pamiętliwi.

Na jesieni możesz wpaść w poważne tarapaty, które wymagać nawet będą zmiany miejsca pracy. Od ciebie zależy, jak ułoży się twoja zawodowa przyszłość.

Szczęśliwe liczby i dni miesiąca to 4 i 16.

ONA Zbytnio przesadzasz udając, że los cię ukarał i że jesteś taka nieszczęśliwa. Inni przecież widzą, że materialnie wcale tak źle nie stoisz, a twe małżeństwo nie jest gorsze od innych. Zastanów się, czy nie za wiele wymagasz od swego męża. On i tak pracuje ponad siły, po co mu stale wymawiasz drobne, męskie przyjemności? Fakt, że lubi towarzystwo, ale przecież męczące są te twoje ciągłe posądzenia o zdradę!

Miesiące letnie przyniosą ci w tym roku szczególnie wiele przyjemnych wrażeń, ale w razie poznania kogoś, kto ci się wyda atrakcyjny (no atrakcyjniejszy niż własny mąż), nie trać głowy choćby z uwagi na komplikacje, jakie ewentualna przygoda mogłaby spowodować.

Szczęśliwe liczby nieparzyste — do 21.

22 czerwca — 22 lipca

ON: Dobrze, że masz wiele ambicji, choć niekiedy te ambicje przerastają twoje możliwości. Uważasz, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli zamkniesz się w sobie i nie dopuścisz do konfrontacji z innymi, którzy robią to samo co ty. Zdobyłeś sobie niezłą markę, niestety, głównie we własnym środowisku i dlatego w swoim optymizmie jesteś jakby osamotniony. Ale jeśli ci z tym dobrze, pozostań już taki!

„Raki" zmotoryzowane powinny mniej szarżować na trasach i nawet na kacu nigdy nie wsiadać do samochodu. Wypadek może spowodować ktoś inny, ale od odpowiedzialności to cię nie uchroni!

W domu nadal monotonnie. Zwróć jednak uwagę na to, że twoja żona stała się typową kurą domową, a coś się jej przecież od życia należy. Jeśli nie dziś, to kiedy? Spróbuj nad tym pomyśleć.

Szczęśliwe liczby parzyste, zwróć uwagę na takie jak: 26 28 36 38 48, ale uczestnicząc w grach liczbowych zbytnio nie przesadzaj!

ONA: Skąd wynika agresywność w twoim postępowaniu? Warto, abyś się nad tym zastanowiła, może nawet wspólnie z lekarzem. Czy nie zauważasz, że stajesz się niekiedy męcząca dla otoczenia? Kobieta niezamężna może mieć kłopoty z wyborem partnera, a zamężna burzyć spokój domowy. W pracy ta agresywność też wpływa na to, że nawet twoi przyjaciele odwracają się od ciebie!

Potrzebny ci jest dłuższy odpoczynek, ale nie na wczasach. Jeśli masz rodzinę na wsi, lepiej spędź urlop „pod gruszą".

Szczęśliwe liczby to te związane z datą urodzin twego męża lub sympatii.

(cdn.)

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Dereck, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — „Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 3, 6.02.88. A-5